MISTRZOWIE SF

FRANK HERBERT

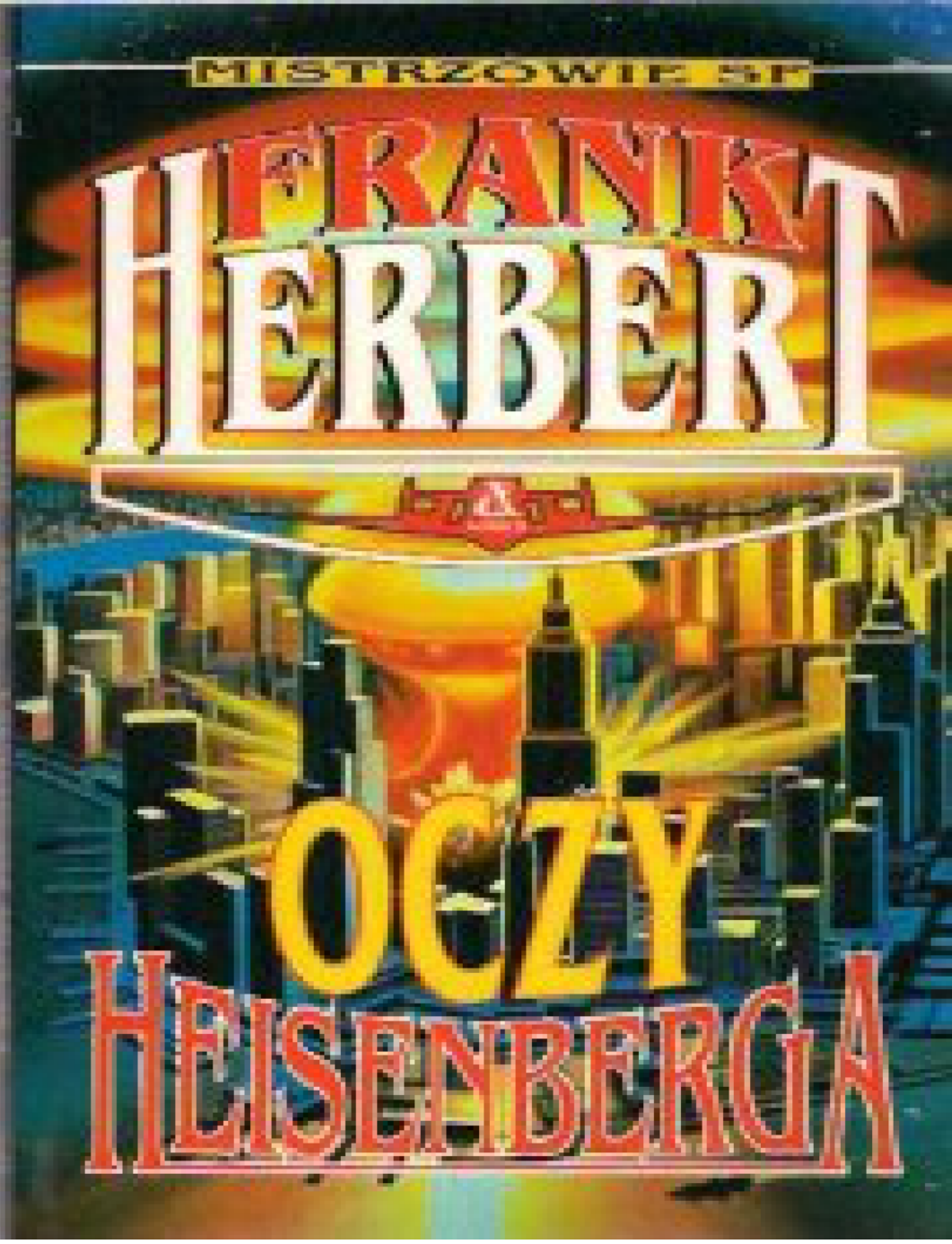

OCZY HEISENBERGA

SHOUT
SHARE IT

Annotation

Prawdziwymi władcami Ziemi od miliona lat są nieśmiertelni Nadludzie. Starannie strzeżone tajemnice modelowania genetycznego zapewniająca im pełną kontrolę nad zniewoloną Masą, zyjącą na zamkniętym obszarze o promieniu siedmiuset kilometrów.

Wynikiem jednego z nie kończących się eksperymentów demiurgów świata są Cyborgi, ludzie-maszyny. Obracają się oni przeciwko swoim stwórcom, chcąc ich za wszelką cenę unicestwić. Wykorzystują do tego rodzący się wśród Masy ruch oporu. Wspólne działania niszczą istniejący od tysiącleci ład.

- Frank Herbert
  - Rozdział 1
  - Rozdział 2
  - Rozdział 3
  - Rozdział 4
  - Rozdział 5
  - Rozdział 6
  - Rozdział 7
  - Rozdział 8
  - Rozdział 9
  - Rozdział 10
  - Rozdział 11
  - Rozdział 12
  - Rozdział 13
  - Rozdział 14
  - Rozdział 15
  - Rozdział 16
  - Rozdział 17
  - Rozdział 18
  - Rozdział 19
  - Rozdział 20

Frank Herbert
Oczy Heisenberga

Rozdział 1

„Po co zaprogramowali ten deszcz na dzisiejszy ranek?” — myślał doktor Thei Srengaard. — „Deszcz zawsze denerwuje rodziców…”

Podmuch chłodnego i wilgotnego powietrza otworzył szerzej okno znajdujące się za jego biurkiem. Wstał, aby je przymknąć, lecz zaraz uznał, iż zbytni spokój jeszcze bardziej zaniepokoiłby Durantów — rodziców, których miał przyjąć dziś rano.

Zbliżył się do okna i zaczął obserwować gęsty tłum przechodniów. Ekipy dzienne właśnie wyruszały do pracy w megalopolii, nocne zaś wracały na dobrze zasłużony odpoczynek. Ta falująca, wielogłowa Masa emanowała siłą i potęgą. Jednak większość tych ludzi, Srengaard to wiedział, była Ster… Była bezpłodna, arcysterylna. Podążali we wszystkich kierunkach — ponumerowani, lecz niezliczalni.

Zostawił interkom w poczekalni włączony, tak więc słyszał jak pielęgniarka — panna Wilson — wystawia na próbę cierpliwość Durantjów, zasypując ich pytaniami i formularzami. Rutyna. Takie były polecenia. Wszystko miało wyglądać normalnie. Durantowie, podobnie jak wszyscy, którzy mieli szczęście i zostali wytypowani na rodziców, musieli pozostać nieświadomi prawdy. Doktor porzucił swoje myśli. Poczucie winy było zakazane dla członków grona lekarskiego, bowiem prowadziło do zdrady, której konsekwencje były nieprzyjemne. Nadludzie byli bardzo drażliwi w sprawach programowania narodzin. Nuta krytycyzmu zawarta w tej myśli wywołała krótkotrwały przestrach u Srengaarda, który przełknąwszy nerwowo ślinę spróbował skoncentrować się na haśle.

O Nadludziach, świętym dla Masy: „Oni nami kierują, kochają nas i opiekują się nami”.

Odsunął się z westchnieniem od parapetu i przez szatnię wszedł do laboratorium. Zatrzymał się przed lustrem, aby sprawdzić swój wygląd. Miał siwe włosy, ciemne oczy, mocno zarysowaną szczękę, wysokie czoło i orli nos. Mimo że surowość jego oblicza zawsze napawała go dumą, umiał też układać rysy twarzy w zależności od potrzeb. Tak więc, teraz złagodził wyraz ust i zawarł w spojrzeniu więcej czułości. Tak, to w zupełności powinno odpowiadać Durantom, o ile, oczywiście, ich profil psychologiczny był poprawny.

Dokładnie w tym momencie panna Wilson wprowadziła Durantów. Deszcz uderzał o szklany sufit nad ich głowami i pogoda jakby dostosowała się do posępnej atmosfery panującej w pomieszczeniu: szkło, stal, plasmeld, cegła — anonimowa doskonałość. Padało na całym świecie, a każdy musiał kiedyś przejść przez pokój taki jak ten, nawet Nadludzie… Srengaard poczuł nagły przypływ antypatii.

Harrey Durant miał więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu, atletyczną figurę, faliste blond włosy, jasnoniebieskie oczy i kwadratową twarz. Z całej jego postawy promieniowała młodość i niewinność. Lizabeth, jego żona, była bardzo podobna. Również młoda, o tak samo jasnych włosach i oczach. Jej tężyzna przywodziła na myśl Walkirię. Na szyi, na srebrnym łańcuszku, nosiła jeden z tych miedzianych breloczków, tak popularnych wśród Masy, który przedstawiał Samicę Nadczłowieka, Calapinę. Mistyczne przywiązanie do kultu płodności, który symbolizowała ta ozdóbka, rozśmieszyło lekarza, ale nie dał tego po sobie poznać. Mimo wszystko Durantowie byli rodzicami, i to doskonale ukształtowanymi. Stanowili żywy dowód zręczności chirurga, który ich stworzył. Srengaard był dumny z przynależności do tego zawodu. Mało osób mogło pochwalić się przynależnością do grona inżynierów wewnątrzkomórkowych, których zadaniem było utrzymanie różnorodności gatunku wewnątrz dokładnie określonych granic.

— Panie doktorze, to Harrey i Lizabeth Durant — powiedziała pielęgniarka wprowadzając pacjentów, i zniknęła nie czekając na podziękowanie. Panna Wilson ciągle dawała dowody wielkiej sumienności i dyskrecji.

— Jestem szczęśliwy, że was widzę — zaczął Srengaard. Mam nadzieję, że pielęgniarka nie zanudziła was zbytnio tymi wszystkimi formularzami, lecz kiedy poprosiliście o obserwowanie, wiedzieliście bez wątpienia co was czeka.

— Doskonale rozumiemy — odpowiedział Harrey, lecz pomyślał: „Poprosili o obserwowanie, doprawdy! Czy ten stary szarlatan myśli, że nas oszuka?”

Ciepły i rozkazujący zarazem baryton przeszkadzał lekarzowi, który poczuł narastającą niechęć do tych dwojga.

— Nie chcemy panu zabrać więcej czasu niż to jest konieczne — dodała Lizabeth. Ścisnęła rękę swego męża i używając ich tajnego kodu polegającego na szybkiej zmianie nacisku palców, przekazała mu:

— „Przeczytałeś jego myśli? Nie lubi nas!”.

Palce Harreya odpowiedziały: „To jest zarozumiały Steryl, tak dumny ze swojej pozycji, że stał się półślepy”.

Ton głosu młodej kobiety zbulwersował Srengaarda. „Tutaj ja muszę kontrolować sytuację”, pomyślał. Podszedł, aby uścisnąć im ręce. Ich dłonie były wilgotne. „Zdenerwowani. Bardzo dobrze”.

Hałaśliwe sapanie pompy stojącej pod ścianą przywróciło lekarzowi pewność siebie. Wystarczy byle pompa, by speszyć rodziców. To dobrze, że pracowała tak głośno. Srengaard zwrócił się do źródła hałasu i wskazał na kryształową probówkę zawieszoną w środku pola siłowego, prawie w centrum laboratorium.

— Proszę, to tutaj — powiedział.

Lizabeth skierowała wzrok na przezroczystobiaławą zawartość naczyńka i koniuszkiem języka zwilżyła wargi.

— Tam w środku?

— Bezpieczeństwo zagwarantowane — zapewnił lekarz, mając jeszcze nadzieję, że Duratowie wrócą do domu, aby tam poczekać na rozwój wypadków. Harrey, patrząc na probówkę, pogłaskał dłoń żony.

— Dowiedzieliśmy się, że wezwaliście specjalistę — powiedział.

— Doktora Pottera z Centrum — odparł Srengaard. Doktor rzucił krótkie spojrzenie na dłonie Durantów, które poruszały się bez przerwy i zwrócił uwagę na tatuaże na palcach wskazujących, opisujące ich charakterystykę genetyczną i pozycję społeczną. Teraz mogli tam dodać „Z" od „zdolny do reprodukcji"; litera ta, tak pożądana, sprawiła, iż poczuł zazdrość.

— Doktor Potter, tak oczywiście — mruknął Harrey. Za pomocą palców dłoni przekazał Lizabeth: „Zauważyłaś jakim tonem powiedział Centrum?"

— „Trudno byłoby tego nie spostrzec" — odpowiedziała. „Centrum" — pomyślała. Słowo to spowodowało, że wyobraziła sobie Nadludzi o manierach wielkich panów i Cyborgi, nieuchwytnych przeciwników tych pierwszych. Myśli te wstrząsnęły nią głęboko. Doszła do wniosku, że od tej pory powinna myśleć wyłącznie o swoim synku.

— Potter jest największy, wiemy to — odpowiedziała. — Nie chcemy abyście nas wzięli za ludzi zatrwożonych i sentymentalnych…

— Lecz chcemy obserwować — dodał z naciskiem Harrey i pomyślał: „Ten snob zrobiłby lepiej przyznając od razu, że znamy swoje prawa".

— Rozumiem — odpowiedział Srengaard. „Imbecyle" — pomyślał i mówił dalej tym samym monotonnym i uspokajającym tonem:

— Wasz niepokój przynosi wam zaszczyt i podziwiam go, jednak konsekwencje…

Nie dokończył zdania. Mógłby im przypomnieć, że on też posiada prawa, w myśl których mógłby przystąpić do modelowania bez ich zgody i w żadnym wypadku nie można na niego zrzucać odpowiedzialności za lęki rodziców. Oficjalny dekret nr 10927 był jednoznaczny: rodzice mieli prawo prosić o obserwowanie, ale modelowanie zależało tylko od chirurga. Zaplanowana przyszłość rasy ludzkiej wykluczała istnienie zniekształceń genetycznych i potworów wszelkiego rodzaju.

Harrey przyznał mu rację szybkim, pełnym respektu ruchem głowy. W tym samym czasie ścisnął rękę żony. Strzępy straszliwych historii i fragmenty oficjalnych mitów wypełniły jego umysł. Na Srengaarda patrzył przez pryzmat tych opowieści pomieszanych z

zakazaną literaturą, którą podrzucały rodzicom Cyborgi z Ruchu Oporu. Durant widział doktora przez Stedmana, Mercha, Shakespearea i Huxleya. Szczupła wiedza Harreya wystawiała go na pastwę przesądów.

Lizabeth też była wstrząśnięta. Nie mogła zapomnieć, że to jej syn rozwijał się w tej probówce.

— Czy jest pan pewien, że on nie cierpi? — zapytała Srengaarda, aby zaspokoić jego próżność.

Zupełna ciemnota Masy, utrzymywana przez życiową konieczność, była już stanowczo zbyt wielka! Srengaard zirytował się. To spotkanie powinno się skończyć jak najszybciej. Rzeczy, które mógłby powiedzieć tym ludziom ciągle kolidowały z tymi, które musiał im mówić.

— Zapłodnione jajo nie posiada systemu nerwowego — odpowiedział hamując wściekłość. — Fizycznie ma ono mniej niż trzy godziny. Jego wzrost został opóźniony przez kontrolę oddychania. Czy on cierpi? Słowo cierpienie nie ma w tym wypadku żadnego sensu.

Terminy techniczne nic by im nie wyjaśniły. Doktor wiedział o tym. Zwiększyłyby tylko przepaść, która dzieliła zwykłych rodziców od inżyniera wewnątrzkomórkowego.

— To było głupie wtrącenie — powiedziała Lizabeth. — On… ten organizm, jest jeszcze tak prymitywny, że nie zasługuje na miano człowieka. — Za pomocą dłoni przekazała Harreyowi: „Co za dureń! Czyta się w nim jak w książce.”

Deszcz się nasilił. Lekarz zwlekał z odpowiedzią.

— Ach nie! To nie tak! — Srengaard pomyślał, że to odpowiedni moment, by dać tym idiotom lekcję katechizmu. — Mimo, iż wasz embrion ma mniej niż trzy godziny, zawiera już wszystkie enzymy, niezbędne do doskonałego rozwoju. Jest to organizm bardzo złożony.

Harrey kontemplował z udanym podziwem „znakomitość” rozumiejącą tajemnice modelowania życia.

Lizabeth znów spojrzała na probówkę. Dwa dni temu wyselekcjonowane gamety jej i Harrey a zostały połączone i skierowane ku względnej mitozie. Proces dał początek zdolnemu do życia i reprodukcji embrionowi. Nie było to częstym zjawiskiem w świecie, w którym tylko garstka starannie wybranych osobników unikała gazu antykoncepcyjnego i dostawała zezwolenie na przekazanie życia. W tym świecie tylko drobna część embrionów okazywała się zdolna do życia.

Kiedyś uznano, że Lizabeth nie zdoła zrozumieć złożoności tego procesu, więc ciągle musiała ukrywać swoją wiedzę. Oni — genetyczni Nadludzie z Centrum — dusili w zarodku i z całym okrucieństwem nawet najmniejsze zamachy na swe przywileje. Przekazywanie wiedzy Masie było największą zbrodnią.

— Jaki on teraz jest? — zapytała.

— Ma mniej niż jedną dziesiątą milimetra — odpowiedział Srengaard, którego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. To jest morula. W czasach prymitywnych nie skończyłby jeszcze podróży do macicy. Dla nas jest to najlepszy okres do modelowania. Musimy działać przed uformowaniem trophoblastu.

Durantowie skinęli głowami przybierając nabożne miny. Srengaardowi poprawił się humor, gdy spostrzegł ich postawę. Zgadywał, iż wysilają się teraz, by zebrać szczątki informacji uzyskane podczas krótkiej, „ogólnomasowej" edukacji. Według archiwum ona była bibliotekarką w przedszkolu, on wychowawcą. Dwa zawody, które nie wymagały prawie żadnej wiedzy.

Harrey dotknął ostrożnie probówkę i cofnął gwałtownie rękę. Szkło wydało mu się ciepłe i ożywione mikroskopijnymi wibracjami. Hałas pompy trwał nieprzerwanie. Durant rozumiał jego znaczenie. Dzięki treningowi otrzymanemu w Ruchu Oporu mógł dokładnie zanalizować postępowanie Srengaarda. Harrey omiótł wzrokiem laboratorium: pęki światłowodów, szare meble i jaskrawe elementy robocze, sprzęty z plasmeldu, liczne wskaźniki przypominające oczy, zapach środków dezynfekujących i preparatów chemicznych. Przy urządzaniu tego pomieszczenia przyjęto dwa założenia: każdy przedmiot musiał mieć praktyczne zastosowanie oraz wywoływać niepokój i respekt.

Lizabeth zwróciła uwagę na element, który wydawał się jej najbardziej znany, czyli zlew uwieńczony dwoma błyszczącymi kranami. Był wciśnięty pomiędzy dwie szafki ze szkła i szarego plasmeldu. Ten zlew zbulwersował ją — symbolizował ściek. Tutaj wyrzucano odpady, które mieszały się z wodą i przepadały w miejskich ściekach.

Mały przedmiot mógł wpaść do zlewu i zniknąć tam bezpowrotnie…

— Nikt nie przeszkodzi mi w obserwowaniu! — Mój Boże — pomyślał Srengaard. Jej głos drżał. To zażenowanie ją zdradziło, nie zgadzało się z pewnością siebie, którą się afiszowała. Wymodelowanie Lizabeth było… udane, ale mimo wszystko chirurg zbyt zintensyfikował jej instynkt macierzyński.

— Tak samo troszczymy się o was jak i dziecko. Wstrząs…

— Prawo zezwala nam na obserwowanie — przerwał mu Harrey i przekazał Lizabeth: „Mniej więcej to przewidzieliśmy".

Ten kretyn wie co mówi — pomyślał Srengaard wzdychając lekko. Według statystyk tylko jedna para na sto tysięcy nalegała na obserwowanie, mimo bardziej lub mniej subtelnych perswazji lekarza. Ale statystyka i rzeczywistość to dwie różne sprawy. Srengaard zauważył ostre spojrzenie Harreya. W modelowaniu tej cząstki Masy

położono zbytni nacisk na samczy instynkt opiekuńczy. Harrey nie mógł znieść, by jego samica się denerwowała. Był to zapładniacz pierwszej jakości, wzorowy mąż, który nigdy nie brał udziału w orgiach Steryli.

— Prawo — powiedział Srengaard — wymaga, abym ostrzegł rodziców przed ryzykiem szoku. Nie miałem wcale zamiaru przeszkadzać wam w obserwowaniu.

— Zrobimy to — uparła się Lizabeth.

Harrey podziwiał jej odwagę. Doskonale grała swoją rolę! Doszła do takiej perfekcji, że w jej głosie zabrzmiała nawet nuta zawahania.

— Nie mogłabym znieść oczekiwania w niewiedzy — ciągnęła dalej jego żona.

Srengaard zastanawiał się, czy powinien wywrzeć na nich presję rzucając na szalę cały swój autorytet, ale rzut oka na zaciętą twarz Harreya i błyszczące oczy Lizabeth wstrzymały go. Będą obserwować.

— Bardzo dobrze — powiedział znowu wzdychając.

— Czy będziemy obserwować tutaj? — zapytał Harrey.

— Oczywiście że nie! — Srengaard poczuł się obrażony. Co za banda prymitywów! Po chwili ochłonął trochę. Mimo wszystko taka ignorancja wynikała ze starannie strzeżonej tajemnicy modelowania genetycznego.

— Damy wam pokój — rozpoczął spokojniejszym tonem — połączony audiowizualnie z tym laboratorium. Pielęgniarka was zaprowadzi.

Panna Wilson dała nowy dowód swej kompetencji, ukazując się w drzwiach właśnie w tej chwili. A więc podsłuchiwała… Dobra pielęgniarka nic nie pozostawia przypadkowi.

— Czy tutaj widzieliśmy już wszystko? — spytała Lizabeth.

Lekarz zauważył błagalny ton jej głosu i to, że unikała patrzenia na probówkę. Cała ukrywana dotąd niechęć zabrzmiała teraz w jego głosie:

— A co innego chciałaby pani zobaczyć? — burknął — Nie spodziewała się pani chyba, że zobaczy morulę?

Harrey wziął swoją żoną pod rękę.

— Dziękuję, panie doktorze.

— I ja dziękuję — dodała Lizabeth. Za pokazanie nam… tego pokoju. Fakt, iż jesteśmy gotowi na wszystkie ewentualności, bardzo podnosi na duchu — jej wzrok padł na zlewozmywak.

— Cała przyjemność po mojej stronie — Srengaard nie zauważył zawartego w jej wypowiedzi szyderstwa. — Pielęgniarka da wam listę imion, abyście mogli wybrać któreś dla waszego syna, chyba że już to zrobiliście. Odwrócił się do panny Wilson:

— Proszę zaprowadzić państwa Durantów do salonu nr 5.

— Proszę za mną — powiedziała pielęgniarka głosem

manifestującym całemu światu przepracowanie i odpowiedzialność jej funkcji.

Po wyjściu Durantów lekarz popatrzył na probówkę. Tyle było do zrobienia! Potter, specjalista z Centrum, miał przybyć mniej więcej za godzinę. Nie będzie mu odpowiadało to, co się tu dzieje. Lekarze nie rozumieją Masy. Przygotowanie psychiczne rodziców zajmowało mnóstwo cennego czasu i komplikowało życie Służbie Bezpieczeństwa. Srengaard przypomniał sobie pięć instrukcji „Do zniszczenia po przeczytaniu", które otrzymał w ubiegłym miesiącu od Maxa Allogooda, szefa SB w Centrum. To było niepokojące; podobno jakieś nowe niebezpieczeństwo zmobilizowało SB.

Mimo wszystko Centrum nalegało, aby prowadzić rozmowy z rodzicami. Srengaard domyślał się, że Nadludzie mieli ważne powody by tak postępować. Nigdy nie pozostawiali nic przypadkowi. Czasami on sam miał wrażenie, że jest sierotą bez przodków i przeszłości. Pozbywał się tej depresji powtarzając sobie hasło: „Oni nami kierują, kochają nas, opiekują się nami". „Oni" trzymali świat w swoich rękach i dokładnie zaplanowali przyszłość: miejsce dla każdego człowieka, każdy człowiek na swoim miejscu. Czasowo porzucono niektóre z najstarszych marzeń ludzkości, takie jak; podbój kosmosu, wydobycie surowców z dna morza, czy roztrzygnięcia dysput filozoficznych. Były pilniejsze sprawy. Kolej na resztę przyjdzie, gdy do końca opanuje się technikę manipulacji genetycznych.

Na razie nie brakowało pracy dla inżynierów wewnątrzkomórkowych. Trzeba było utrzymać liczbę robotników, zahamować wszelkie dewiacje i utrzymać pulę genetyczną, z której pochodzili sami Nadludzie. Srengaard ustawił mikroskop elektronowy na probówkę Durantów i ustawił go na minimalne powiększenie, żeby zmniejszyć interferencje Heisenberga. Dodatkowe sprawdzenie nie zaszkodzi nikomu: przy odrobinie szczęścia być może uda się zlokalizować komórkę-matkę, co ułatwi zadanie Potterowi. Lecz pochylając się nad mikroskopem, Srengaard wiedział, że usprawiedliwia się przed samym sobą. Po prostu nie mógł się oprzeć pokusie spojrzenia na tę morulę, z której miał się n a md/i ć Nadczłowiek. Cuda były tak rzadkie…

Włączył aparat. W małym powiększeniu wydawało się, iż morula trwa w zupełnym bezruchu. Zastój zahamował wszelkie pulsacje. Mimo tego uśpienia wyglądała bardzo dobrze. Nie zachował się żaden ślad bitwy, która miała w niej miejsce.

Srengaard przygotował się do zwiększenia powiększenia, lecz powstrzymał swój ruch. Zbyt wielkie powiększenie niosło fiyzyjco, lecz Potter na pewno będzie umiał zapobiec skutkom interferencji. Dlatego nie oparł się pokusie.

Podwoił powiększenie, po czym zrobił to jeszcze raz.

Powiększenie usunęło wrażenie zastoju. Ruchy stały się widoczne. Błyski podobne do spadających gwiazd zamigotały za powierzchni ekranu. Na tym tle ukazała się potrójna spirala nukleotydów — to ona spowodowała iż wezwał Pottera. Prawie Nadczłowiek. Prawie gotowe dzieło, równowaga formy i treści, która dzięki dokładnie obliczonej porcji enzymów mogła zapewnić nieśmiertelność.

Srengaard poczuł się nagle sfrustrowany. Jego własny zestaw enzymów, mimo iż utrzymywał go przy życiu, musiał w końcu doprowadzić do śmierci. Taki był los wszystkich ludzi. Mieli nadzieję osiągnąć wiek dwustu lat, czasami nieco więcej, jednak na koniec równowaga przemiany przerywała się u wszystkich oprócz Nadludzi. Oni byli doskonali, ograniczeni jedynie przez bezpłodność. Lecz był to los wspólny tak wielkiej liczbie ludzi, że w niczym nie umniejszał znaczenia ich nieśmiertelności.

Własna bezpłodność dawała Srengaardowi wrażenie wspólnoty z Nadludźmi, którzy pewnego dnia rozwiążą również i ten problem. Skoncentrował się na moruli. W tym stadium powiększenia zawiesina kwasów aminowych zawierających siarkę stała się widoczna.

Zawiesina drżała poruszana małymi wstrząsami. Srengaard zauważył ze zdziwieniem isoralthinę, wskaźnik genetyczny myxoedemu, symptom możliwej wadliwości systemu Thyrodien. Wada niepokojąca w organizmie bliskim doskonałości. Koniecznie trzeba o tym powiedzieć Potterowi!

Zmniejszył powiększenie, by obejrzeć strukturę mitochondriów oraz zgięcia błony wewnętrznej. Potem przeszedł do błony zewnętrznej i zatrzymał się na warstwie hydrofilowej. Tak, można jeszcze doprowadzić do równowagi isoralthiny! Nadzieja osiągnięcia perfekcji nie była stracona.

Wtem wszystko w polu widzenia mikroskopu zadygotało.

— Mój Boże, nie! — Srengaard skamieniał na widok fenomenu, który miał miejsce tylko osiem razy w historii manipulacji genetycznych.

Niewyraźna smuga zawiesiny podpłynęła z lewej strony do struktury komórkowej. Owinęła się wokół zwojów helisy Alfa, osiągnęła granicę łańcucha polipeptydów i zniknęła.

Na miejscu smugi były teraz nowe struktury, które mierzyły około czterech angstremów średnicy i tysiąca długości. Była to protamina spermatyczna bogata w argininę. Wokół niej cytoplazmatyczne fabryki proteiny zmodyfikowały się, walcząc przeciw zastojowi. Srengaard rozpoznał fenomen dzięki opisowi klinicznemu ośmiu poprzednich przypadków. System replikacji DNA skomplikował się i zwiększył swą wytrzymałość. Tym samym zadanie lekarza stało się trudniejsze.

Potter będzie wściekły — pomyślał Srengaard.

Zgasił mikroskop, wyprostował się, wytarł wilgotne ręce, po czym

spojrzał na zegar. Minęło mniej niż dwie minuty. Durantowie nie dotarli nawet do salonu. A mimo to, podczas tych dwóch minut jakaś siła, jakaś enegria z zewnątrz, spowodowała we wnętrzu embriona ogromne zmiany.

Czy to właśnie niepokoi SB i Nadludzi? — zastanowił się.

Słyszał jak mówiono o tym zjawisku, czytał raporty, lecz nie myślał, że zobaczy to kiedykolwiek na własne oczy.

Było to jakby zorganizowane… Potrząsnął głową. Nie, to nie mogło być zamierzone, to był po prostu przypadek i nic ponadto.

Lecz wspomnienie tego, co widział, prześladowało go. W porównaniu z tym — pomyślał — moje wysiłki wydają się śmieszne. Trzeba będzie powiedzieć o tym Potterowi. On powinien wyprostować ten wygięty łańcuch… Jeżeli oczywiście jest to jeszcze możliwe, po tym kiedy stał się tak wytrzymały.

Srengaard poczuł się nieswojo. Nie był przekonany, że to wypadek. Sprawdził wszystko od początku. Analizator podłączony do komputera wskazywał dużą ilość cyto-chromu b5 oraz hemoproteine 0-450.

Doktor odwrócił się od monitora, a natępnie sprawdził działanie skalpela mikromechanicznego, liczników zainstalowanych obok probówki i wydruku z opisem przebiegu zastoju.

Wszystko było w porządku. Tym lepiej. Embrion Durantów, wyposażony w nadzwyczajny potencjał, był teraz genetyczną niewiadomą. Może Potterowi uda się to, wobec czego inni byli bezradni.

Rozdział 2

Przybywszy do szpitala, doktor Wiesław Potter zatrzymał się w portierni. Mimo iż długa podróż koleją pneumatyczną z Centrum do Seatac Megalopolis zmęczyła go trochę, z zapałem opowiedział dyżurnej pielęgniarce sprośną historyjkę na temat reprodukcji prymitywnej. Ta zarumieniła się, po czym wyszła poszukać ostatniego raportu Srengaarda o embrionie Durantów. Wróciwszy, położyła go na stole zerkając na Pottera. Ten rzucił okiem na raport, a następnie spojrzał pielęgniarce prosto w oczy.

„Czy to możliwe?" — zapytał sam siebie. „Ależ nie, ona jest za stara! Nie byłaby nawet dobra w łóżku". Poza tym Nadludzie nie daliby nam pozwolenia na reprodukcję. Jestem Zeekiem J4111118ZK. Gen Zeek był modny dawno temu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych w regionie megalopolii Timbuktu.

Z tego genu pochodziły osobniki o jasnej cerze, czarnych włosach, brązowych i ciepłych oczach, okrągłej twarzy oraz tęgiej budowie ciała.

„Zeek Wiesław Potter. Nigdy nie wyprodukował samca, ani samicy Nadczłowieka, ani nawet systemu gamet zdolneeo do żvcia…"

Potter wiele lat temu zrezygnował z tych marzeń. Tak, jak inni głosował za przerwaniem serii Zeeków. Pomyślał o Nadludziach, z którymi miał do czynienia i którzy nim pogardzali. Jednak ich śmiechy już dawno przestały go denerwować.

— Durantowie, których embrionem zajmę się dzisiaj — powiedział z uśmiechem do pielęgniarki — są moim dziełem. To ja wymodelowałem ich obydwoje. To mnie nie odmładza.

— Ależ panie doktorze, jest pan jeszcze w kwiecie wieku. Nie dano by panu nawet stu lat.

— Tak, ale moje bachory przynoszą mi embriona i… — wzruszył ramionami.

— Pan im to powie, że ich pan wymodelował, obydwoje?

— Z pewnością nawet się z nimi nie zobaczę. Wie pani dobrze, jak się to wszystko odbywa. Poza tym, czasami ludzie są zadowoleni ze swojego modelażu, a czasami chcieliby więcej tego, lub mniej tamtego. Krytykują chirurga. Nic nie rozumieją, bo są nieświadomi problemów, które powstają w sali modelowania.

— Durantowie wydają się być niemal idealni. Normalni, szczęśliwi. Może trochę za bardzo przejęci swoim synem, być może, ale…

— Należą do jednego z najbardziej udanych typów genetycznych. Oto dowód: wyprodukowali embrion zdolny do życia!

— Może pan być z nich dumny. W mojej rodzinie było tylko 15

embrionów na 190 prób.

Złożył usta w grymasie współczucia, zastanawiając się dlaczego zawsze daje się wciągnąć w rozmowy z tym rodzajem kobiet, zwłaszcza z pielęgniarkami. Działo się tak dlatego, że ciągle istniała nadzieja. Nadzieja ta była powodem wielu jego idiotycznych posunięć. Spotykał się z szarlatanami zwącymi się lekarzami zapładniaczami, interesował się eliksirami „prawdziwej płodności". To on wpadł na pomysł rozpoczęcia masowej produkcji podobizn Calapiny — Samicy Nadczłowieka, by fałszywie uważano, iż stworzyła ona embrion zdolny do życia. To dzięki niemu posągi bogini płodności miały stopy wytarte pocałunkami.

Grymas współczucia przemienił się w cyniczny uśmiech. „Nadzieja!… gdyby tylko wiedzieli…"

— Czy powiedziano panu, że Durantowie zdecydowali się obserwować? — spytała pielęgniarka.

Podniósł szybko głowę i spojrzał na nią z osłupieniem.

— W szpitalu mówi się tylko o tym. SB została powiadomiona. Sprawdzono ich. Teraz są w salonie numer 5. Właśnie połączono ich z laboratorium.

— Czy w tej ruderze już nie można nic zrobić w spokoju? — ryknął z furią.

— Ależ panie doktorze! — pielęgniarka znowu zmieniła się w dyżurnego tyrana. — Nie trzeba tracić zimnej krwi. Durantowie mają do tego prawo. Mamy związane ręce, wie pan o tym.

— Gówniane prawo — mruknął, lecz jego złość już zniknęła. Prawo… — zastanowił się. Jeszcze jeden element tej cholernej maskarady! Ale prawo było niezbędne, musiał to przyznać. Bez dekretu 10927 na pewno zadawano by liczne żenujące pytania. Srengaard zrobił na pewno wszystko co mógł, aby wyperswadować im ten pomysł.

Potter smutno uśmiechnął się.

— Przykro mi, że nie wytrzymałem. Miałem ciężki tydzień…

— Czy chce pan zapoznać się z resztą raportów? Przyjazna atmosfera pogaduszki między nim a pielęgniarką zniknęła. Zauważył to.

— Nie, dziękuję. Wziął akta Durantów i ruszył do biura Srengaarda. Taki był jego los… Dwójka obserwatorów!

Czyli więcej pracy. Nie wystarczyło im obejrzenie post factum taśmy z nagranym modelowaniem. Nie! Musieli być na miejscu. Znaczyło to, że wcale nie byli tacy niewinni, na jakich wyglądali. Agenci Służby Bezpieczeństwa schrzanili swoją robotę. Już od dawna ludzie nie nalegali, żeby obserwować. Pozbawiono ich tej chęci. Durantowie musieli być w tym zakresie błędnie wymodelowani.

Ale, przypomniał sobie Potter: „to ja sam ich modelowałem. A

więc nie popełniłem pomyłki”.

Przed biurem spotkał Srengaarda, który mu krótko streścił sytuację, po czym zaczął mówić coś na temat Służby Bezpieczeństwa.

— Do diabła z lokalnymi agentami SB! — krzyknął Potter. Otrzymaliśmy nowe instrukcje. W takich przypadkach musimy uprzedzić SB z Centrum.

Weszli do biura. Właściwie był to pokoik narożny z widokiem na wiszący ogród i taras z plasmeldu. Z tego materiału były zbudowane wszystkie domy i urządzenia na tym najlepszym ze światów. Wszystko oprócz ludzi.

— Służbę Specjalną z Centrum? — upewnił się Srengaard.

— Dokładnie tak — odpowiedział Potter siadając w fotelu swojego kolegi. Położył nogi na biurku i wystukał numer telefoniczny SB, po czym podał swój kod identyfikacyjny.

Srengaard stał naprzeciwko, przy rogu biurka. Był zarazem wściekły i przestraszony.

— Powtarzam panu, że ich sprawdziliśmy — zaczął nerwowo. — Nie znaleźliśmy nic nadzwyczajnego na ich temat. Wydają się być zupełnie normalni.

— Ale nalegają, żeby obserwować! — Potter potrząsnął wideofonem. — Co robią ci imbecyle?!!

— Ale prawo… — ciągnął Srengaard. — Wypchaj się pan swoim prawem. Wie pan równie dobrze jak ja, że w takim wypadku moglibyśmy ocenzurować obraz za pomocą komputera, który przepuściłby tylko to, co chcemy, żeby zobaczyli. Nigdy się pan nie zastanawiał, dlaczego tego nie robimy?

— Dlaczego… oni. — Srengaard potrząsnął głową. To pytanie było dla niego zbyt zaskakujące. — Właściwie dlaczego? Według statystyk pewna liczba rodziców nalega by obserwować i…

— Próbowaliśmy — odpowiedział Potter. — Ale rodzice zorientowali się, że coś jest nie tak.

— Jak?

— Nie wiemy.

— Nie zapytaliście ich o to?

— Popełnili samobójstwo.

— Samobójstwo? Jak?

— Nie wiemy.

Srengaard poczuł, że ma sucho w gardle i bezskutecznie spróbował przełknąć ślinę. Zaczął wyobrażać sobie zamieszanie, które panowało w Służbie Bezpieczeństwa.

— Ale statystyki…

— Głupoty!

W głośniku rozległ się męski głos:

— Z kim pan rozmawia? Potter spojrzał na ekran.

— Mówiłem do doktora Srengaarda. Chodzi o embrion zdolny do życia, z powodu którego mnie wezwał.

— Czy aby naprawdę „zdolny”?

— Tak, i z pewnym potencjałem na dodatek. Ale rodzice uparli się, żeby obserwować…

Wysyłam do was ekipę, która przybędzie za 10 minut — przerwał głos. Są we Friscopolis. Nie powinni się spóźnić.

Srengaard wytarł spocone dłonie o fartuch. Nie widział

ekranu, ale głos był podobny do Maxa Allgooda, głównego szefa SB.

— Zaczekamy z rozpoczęciem modelowania na waszych ludzi — oświadczył Potter. — Wyślę panu raporty. Powinny dotrzeć za kilka minut. Jest jeszcze coś…

— Czy ten embrion jest taki, jak nam powiedziano? — zapytał głos.

— Ukryty myxoedem, możliwa wada jednej komórki, ale…

— O.K., skontaktuję się z panem po zapoznaniu się z…

— Do diabła, czy przestanie mi pan nareszcie przerywać! Jest coś ważniejszego od rodziców i wad — przelotnie spojrzał na Srengaarda — doktor Srengaard twierdzi, że widział „zewnętrzne” uzupełnienie braku argininy.

Dało się słyszeć przeciągły gwizd, po którym nastąpiło pytanie:

— Można mu wierzyć?

— Na 100 procent.

— Czy to był ten sam proces co w ośmiu pozostałych przypadkach?

Potter znów spojrzał na Srengaarda, który przytaknął.

— On mówi, że tak.

— IM się to nie spodoba.

— Czy Srengaard domyśla się, co może dalej nastąpić? Srengaard pokręcił głową.

— Nie — odpowiedział Potter.

— Całkiem możliwe, że pozostanie to bez konsekwencji — skomentował głos. W systemie o wzrastającym deterrninizmie…

— Tak — zaśmiał się Potter, w systemie o wzrastającym determinizmie napotykamy na coraz silniejszy indeterminizm. Równie dobrze można twierdzić, że gdy niemowlakowi rosną zęby…

— No cóż, oni tak myślą. ONI! — Tym gorzej. Sądzę, iż natura nie lubi, aby ingerowano w jej dzieło.

Potter ciągle patrzył w ekran. Z niewiadomych przyczyn powróciły mu wspomnienia z początku studiów medycyny, z tego dnia, w którym dowiedział się, że jego genotyp jest bardzo podobny do genotypu Nadludzi. Odkrył, iż ziarno nienawiści, które wtedy schował głęboko w sercu, przemieniło się teraz w cyniczną tolerancję

zabarwioną czarnym humorem.

— Zastanawiam się, dlaczego wezwano właśnie pana? — spytał głos.

— Bo byłem najbliżej — mruknął Potter. — Zrobię, co będę mógł.

— W takim razie wszystko zależy od sposobu, w jaki załatwi pan sprawę. Musi pan zbadać tę „zewnętrzną" interwencję…

— Proszę nie udawać durnia — uciął Potter. — Niech pan zajmie się swoją robotą, a my naszą. Przerwał brutalnie połączenie i rzucił aparat na biurko. — Diabli nadali! — podrapał się w potylicę.

Srengaard jeszcze raz spróbował przełknąć ślinę. Nigdy do tej pory nie słyszał, żeby wysłannik z Centrum mówił z tak brutalną szczerością.

— Zaszokowałem pana, nieprawdaż Sren? — spytał Potter opuszczając nogi na ziemię.

Tamten zażenowany wzruszył ramionami.

Potter przyjrzał się swojemu koledze. Zdolny człowiek, wybitny chirurg. Srengaardowi brakowało jednak wyobraźni i zmysłu odkrywcy. Z tego powodu pozostał tylko anonimowym instruktorem.

— Sren, jest pan swój gość — powiedział Potter. — Godny zaufania, tak jest napisane w pańskich aktach, godny zaufania — powtórzył. — Tak pana zrobiono. W tej dziedzinie zresztą jest pan niezastąpiony.

Z wypowiedzi Pottera Srengaard przyjął do wiadomości tylko komplement.

— To przyjemne czuć się docenionym, ale…

— Praca na nas czeka.

— To nie będzie łatwe. Teraz…

— Czy uważa pan „interwencję zewnętrzną" za zjawisko naturalne? — spytał nagle Potter.

— Ja… chciałbym wierzyć, że ten fenomen nie został spowodowany przez żadnego agenta…

— Chciałby pan zdać się na przypadek, niepewność i Heisenberga. Słynna zasada niepewności: nasza babranina daje pewne rezultaty, ale w rzeczywistości wszystko zależy od kaprysu natury.

— To nie jest dokładnie to, co chciałem powiedzieć. — Nutka agresji zawarta w wypowiedzi Pottera ubodła Srengaarda do żywego. — Chciałbym wykluczyć wszelką interwencję czynników nadprzyrodzonych.

— Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że obawia się zaklęć jakiegoś bóstwa.

Srengaard odwrócił wzrok.

— Przypominam sobie, że na jednym z pańskich wykładów powiedział pan, że trzeba być zawsze gotowym na spotkanie rzeczywistości całkiem innej niż ta, którą opisano w książkach.

— Ja to powiedziałem?

— Tak.

— Jest więc coś innego. O co tu chodzi? Jest coś, co ucieka przed naszymi instrumentami, co nigdy nie słyszało o Heisenbergu, coś co nigdy nie zaznało niepewności? Co działa — Potter zniżył głos — bezpośrednio… Co „naprawia" nasze błędy? — przechylił głowę. — Ach! Heisenberg musi się przewracać w grobie.

Srengaard spojrzał z uwagą na Pottera — ten wyraźnie nabijał się z niego. — Heisenberg przypomniał nam o granicy naszych możliwości — zaczął niepewnie.

— Właśnie, przypadek istnieje. Ot, czego nas nauczył. Pewnego dnia napotykamy zjawisko, którego nie możemy ani zinterpretować, ani zrozumieć, ani sklasyfikować. W zasadzie Heisenberg przygotował nas do dzisiejszego dylematu — Potter spojrzał na zegarek, który nosił na palcu, i na nowo zwrócił wzrok na kolegę. — Mamy tendencje do interpretowania rzeczywistości otaczającej nas przez filtr intelektualny, który ukształtowało nasze wychowanie. Tak więc, nasza epoka widzi wszystko oczami Heisenberga. Ale przyjmując, że miał on rację, jak mamy zdecydować, czy nowy nieznany fenomen jest przypadkiem, czy przejawem woli boskiej? Niezła łamigłówka, prawda?

— Wydaje mi się, że mimo wszystko dobrze sobie radzimy — powiedział Srengaard.

Ku jego zdziwieniu, Potter wybuchnął śmiechem. Odrzucił głowę do tyłu i zarechotał tak, że aż całym ciałem wstrząsnęły drgawki.

— Sren, jest pan wspaniały — powiedział ocierając łzy. — Szczerze mówiąc, bez ludzi takich jak pan, nadal bujalibyśmy się na ogonach i uciekali przed tygrysami szablozębymi.

— Co myśli SB o wyrównaniu poziomu argininy? — spytał Srengaard zaciekle walcząc, by nie pokazać po sobie złości.

Potter zmierzył wzrokiem twarz swego rozmówcy.

— Nie doceniłem pana? Chce pan przeprosin, o to chodzi?

Srengaard wzruszył ramionami. Uważał, że Potter cudacznie się dzisiaj zachowuje. Chirurg reagował w zadziwiający sposób i dawał się ponieść emocjom.

— Wie pan co tym myślę? — spytał raz jeszcze.

— Przecież słyszał pan Maxa — Potter machnął ręką. A więc to naprawdę był ALLGOOD! — przemknęło Srengaardowi.

— Rzecz w tym — ciągnął dalej Potter — że Max zupełnie się myli. On myśli, że modelowanie genetyczne jest czymś naturalnym. Dla nich natura nie może być zredukowana do mechanicznej wymiany, a co za tym idzie do inercji. Niemożliwe jest zatrzymanie jej ruchu, rozumie pan? Tymczasem Natura jest złożona z systemów rozszerzających się, energia poszukuje formy.

— Rozszerzający się system?

Potter podniósł oczy na zaciekawioną twarz kolegi. Pytanie to przypomniało mu, iż pomiędzy poglądami tych, którzy żyli blisko Centrum i tych, którzy znali świat Nadludzi tylko od strony oficjalnych informacji otrzymywanych stamtąd, istniała przepaść.

Różnica między mną a nim — pomyślał Potter — jest taka, jak między Nadludźmi i nami. Podobnie jest ze Sterylami i Zapładniaczami. Jesteśmy odcięci jedni od drugich. Żaden z nas nie ma przeszłości. Oprócz Nadludzi oczywiście. Ale każdy z nich ma przeszłość indywidualną, całkowicie egoistyczną, i bez pamięci…

— Tak, system rozszerzający się — potwierdził głośno. — Dla nich od mikro- do makrokosmosu wszystko jest całkowicie uporządkowane. Sam pomysł materii bezwładnej wydaje się im bezsensowny. Wszystko, co istnieje, pochodzi ze zderzeń o różnej energii. Ciężko jest nawet dobrać słowa, bowiem energia może przybrać niezliczone formy. Wszystko zależy od punktu widzenia obserwatora, a każdej jego zmianie towarzyszy zmiana praw. Istnieje więc nieskończona ilość praw. Każde zależy od odmiany punktu widzenia i obserwowanego zjawiska. W systemie rozszerzającym się, to coś przybyłe z zewnątrz jest tylko fluktuacją fali. Zbulwersowany tym, co usłyszał, Srengaard zamilkł. Wszystkie pytania, które mógł sobie postawić na temat Wszechświata, otrzymały teraz, jak się zdawało, pewne wyjaśnienie.

— A więc taką wiedzę zdobywa się pracując w Centrum? — zapytał w końcu.

— To pana zupełnie zaskoczyło, prawda? — Potter wstał. — Genialny pomysł! — zachichotał. — To niejaki Diderot wpadł na to. Żył w okolicach 1750 roku. A teraz odgrzewają nam go w kawałkach. Co za mądrość!

— Czy ten Diderot był jednym z nich?

Potter westchnął ciężko. Brak wiedzy historycznej czasami może okazać się tragiczny. W tej samej chwili jednak zapytał siebie, jaką wiedzę pozwolono zdobyć jemu samemu?

— Diderot był jednym z nas — warknął. Srengaard spojrzał na niego zupełnie zszokowany. Takie bluźnierstwo zaparło mu dech w piersiach.

— Tak więc wróciliśmy do wyjściowej zasady — powiedział chirurg. — Natura nie lubi, by ingerowano w jej dzieła.

Dzwonek zadzwonił pod biurkiem.

— Służba Bezpieczeństwa? — spytał Potter.

— Droga wolna, oczekują nas.

— Cymbały z SB są już na miejscu. Zauważył pan, iż nie raczyli nas uprzedzić, pana ani mnie. Obserwują nas tak jak innych.

— Ja… ja nie mam nic do ukrycia!

— Aby na pewno? — Potter okrążył biurko i wziął swego kolegę pod ramię. Chodźmy. Czas uformować i zorganizować nowy żywy organizm. Prawdziwi bogowie, ot, czym jesteśmy!

Srengaard jeszcze się nie uspokoił.

— A Durantowie? Co oni im zrobią? — spytał.

— Ależ nic, chyba że Durantowie ich sprowokują. Jeśli tego nie zrobią, to nie zauważą w ogóle, że ich szpiegowano, a chłopcy z Centrum będą wiedzieli o wszystkim, co dzieje się w salonie.

Jednak Srengaard nie ruszył się.

— Doktorze Potter, co, według pana, wprowadziło ten łańcuch argininy do moruli?

— Jestem bliższy pańskiego ›zdania, niż się to panu wydaje. Naszymi sztucznymi izomerami wprowadzamy równowagę enzymatyczną, a nasze promienie poddźwiękowe modyfikują równowagę chemiczną wewnątrz zarodka. Jest pan jednak także lekarzem. Wie pan dobrze, ile enzymów musimy konsumować w celu przywrócenia równowagi niezbędnej do pozostania przy życiu. Nie zawsze tak było. To, co stworzyło tę równowagę, nie zginęło i cokolwiek to jest, broni się. Oto moje zdanie.

Rozdział 3

Pielęgniarki z laboratorium ustawiły probówkę pod dystrybutorem enzymów, przygotowały zbiorniczki i przewody, które podłączyły do komputera.

Pracowały spokojnie, podczas gdy Potter i Srengaard obserwowali ekrany. Pielęgniarka zajmująca się komputerem zainstalowała taśmy rejestracyjne: aparatura zaczęła buczeć w chwili, gdy sprawdzała jej działanie.

Jak zawsze przed operacją, Potter był zdenerwowany. Gdy zabieg się zacznie, nerwy ustąpią miejsca pewności siebie, lecz na razie czuł się nieswojo. Spojrzał na wskaźniki; cykl Krebsa w probówce utrzymywał się na poziomie 86.9, 60 punktów powyżej granicy śmierci. Pielęgniarka poprawiła maskę, sprawdziła działanie mikrofonu.

„Przy świetle księżyca, przyjaciel mój…" — zanucił chirurg za plecami pielęgniarki. Usłyszał chichot manipulatorki, więc spojrzał na nią, lecz stała odwrócona plecami, a jej twarz była zakryta czepkiem i maską.

— Mikrofon działa, panie doktorze — powiedziała pielęgniarka zajmująca się probówką. Z powodu maski nie mógł zobaczyć jej warg, lecz powieki zmarszczyły się nad tkaniną.

Srengaard zakładaiac rękawiczki wciągnął głęboko po wietrze. W pokoju czuć było amoniak. Zastanawiał się, dlaczego Potter zawsze żartuje z pielęgniarkami. Wydawało mu się to nie na miejscu.

Potter zbliżył się do probówki. Jego sterylny kombinezon fałdował się w rytm kroków z charakterystycznym szelestem. Spojrzał na ekran ścienny, który dzięki specjalnie umieszczonej kamerze ukazywał prawie całe pole widzenia lekarza. Ten sam obraz widzieli rodzice.

„Cholerni rodzice! Przez nich czuję się winny… przez wszystkich bez wyjątku…"

Skoncentrował się na probówce, naszpikowanej teraz licznymi igłami dozowników i manipulatorów. Hałas pompy działał mu na nerwy.

Srengaard stanął po drugiej stronie probówki i czekał. Emanował od niego spokój i pewność siebie.

„Zastanawiam się, co on naprawdę czuje" — Potter przypomniał sobie, że w nagłych wypadkach nie ma lepszego asystenta od Srengaarda.

— Może pan zacząć dodawać kwas — powiedział. Srengaard przytaknął i nacisnął odpowiedni przycisk. Pielęgniarka włączyła taśmę.

Obaj chirurdzy skierowali wzrok na ekrany. Cykl Krebsa zaczął wzrastać: 87,0… 87,3… 88,5… 89,4… 90,5… 91,9…

Teraz — powiedział sobie Potter — rozpoczął się nieodwracalny proces. Tylko śmierć może go powstrzymać… — Powiedzcie mi, gdy osiągnie 110 — polecił.

Odstawił na miejsce mikroskop i mikromanipulator. Był ciekawy, czy zobaczy to, co wiedział Sren? Nadzieja była mała. Błysk przybyły z zewnątrz nigdy nie uderzył dwa razy w to samo miejsce. Wydawało się, że robił to, czego ludzie nie mogli zrobić, i znikał bez śladu.

— Żeby gdzieś pójść? — zastanowił się Potter. — Ale gdzie?…

W polu widzenia ukazały się rybosomy. Powoli powiek szył obraz i zagłębił się w zwoje DNA. Tak, Sren miał rację, embrion Durantów był jednym z tych nielicznych, zdolnych przejść do Nadludzi z Centrum. Pod warunkiem, że operacja się uda…

To potwierdzenie mimo wszystko zdziwiło Pottera. Zwrócił uwagę na strukturę mitochondrii i stwierdził niewątpliwą penetrację argininy. Wszystko zgadzało się z opisem Srena. Skrzydła Alfa zaczęły się już formować, ukazując w pełnej krasie pręgi powstałe dzięki aneurynie.

„Ten embrion będzie się opierać chirurgowi”. Zapowiadała się ciekawa walka.

Potter wstał.

— No i co? — spytał go Srengaard.

— Dokładnie to, co pan mi opisał — odparł Potter. Wszystko w porządku — to ostatnie zdanie było zaadresowane do rodziców.

Zastanowił się, co SB odkryło na temat Durantów. Czy naszpikuje się ich elektronicznymi szpiegami, ukrytymi w sprzętach codziennego użytku? Być może. Rozeszła się plotka, że rodzice z Ruchu Oporu opracowali nowe metody walki i Cyborgi wyszły z zapomnienia po wiekach ukrywania się. O ile Cyborgi istniały, w co Potter wątpił.

— Proszę zmniejszyć przepływ kwasu — rozkazał Srengaard pielęgniarce.

— Gotowe — odpowiedziała.

Potter zajął się pierwszym dystrybutorem enzymów i sprawdził zawarte w zbiornikach składniki: przede wszystkim pirymidyny, kwas ATP, proteiny, później aneuryna, ryboflawina, pirydoxyna, kwas pantoteinowy, cholina, sulfhydryl… Zaczął obmyślać plan ataku przeciw systemowi obronnemu moruli.

— Spróbuję znaleźć komórkę-matkę za pomocą cysteiny — oznajmił. Trzymajcie w pogotowiu sulfhydryl i bądźcie gotowi do syntezy proteinowej.

— Gotowe — powiedział Srengaard, skinął głową w kierunku manipulatorki, która trwała w oczekiwaniu, gotowa do działania.

— Cykl Krebsa? — zainteresował się Potter. Potem znowu

pochylił się nad mikroskopem.

— Dwie jednostki sulfhydrylu!

Potter stopniowo zwiększał powiększenie i wybrał jedną komórkę, aby próbnie wstrzyknąć w nią cysteinę. Zamieszanie spowodowane sulfhydrylem powoli zniknęło. Spróbował znaleźć dowody, że mitoza rozpoczęła się w zaplanowany przez niego sposób. Wszystko działo się powoli, za wolno. Ledwo zaczął, a już ręce spociły mu się w rękawiczkach.

— Przygotować się do wstrzyknięcia adenozyny trójfosforanowej — zakomenderował.

Srengaard wprowadził zbiorniczek mikromanipulatora i znacząco spojrzał na pielęgniarkę ładującą kolejny dozownik. Już ATP! Początek zapowiadał się ciężki.

— Wysłać dawkę ATP — rozkazał Potter. Srengaard nacisnął przycisk. Panowała taka cisza, że słychać było szelest pracy komputera.

Potter podniósł na chwilę głowę.

— Nie jest dobrze. Spróbujemy inaczej. Znów się schylił, przesunął mikromanipulator, zwiększył gwałtownie powiększenie i delikatnie torował sobie drogę w masie komórkowej. Powoli… powoli… Sam mikroskop mógł spowodować nieodwracalne szkody.

Achhh… — wreszcie dostrzegł aktywną komórkę w samym sercu moruli. W tym miejscu zastój sztucznie utrzymywany w probówce spowodował tylko względne zwolnienie. Komórka była sceną aktywnej działalności chemicznej. Rozpoznał podwójne pary substancji pierwotnej, przyczepione do zwojów spirali glukozy.

Całe zaniepokojenie opadło, odzyskał zwykłą pewność siebie i przeświadczenie, że morula jest oceanem, w którym on pływa. Przestrzeń we wnętrzu komórki była jego środowiskiem naturalnym. — Dwie dawki sulfhydrylu.

— Sulfhydryl, dwie dawki — powtórzył Srengaard.

— ATP — oznajmił Potter. — Przerwę reakcję wymiany w systemie mitochondrii. Wysłać oligomiocynę i azyd.

Srengaard dał dowód swoich kompetencji wykonując polecenie bez zmrużenia oka. Tylko następne pytanie wskazywało, że znał niebezpieczeństwo tego zabiegu.

— Czy mam mieć w pogotowiu jakiś środek, by zapobiec łączeniu się par?

— Niech pan przygotuje arsenian numer l.

— Cykl Krebsa spada — oznajmiła manipulatorka. — 89.4.

— Skutek wtargnięcia nowych preparatów — stwierdził Potter. — Wysłać 0,6 jednostki azydu.

Srengaard uaktywnił dozownik.

— 0,4 oligomiocyny — ciągnął Potter.

— Oligomiocyna 0,4.

Potter był już tylko oczami przyklejonymi do mikroskopu i rękami uczepionymi mikromanipulatora. Jego dusza została przeszczepiona do moruli i stworzyła z nią jedną całość.

Po chwili spostrzegł wstrzymanie mitozy peryferyjnej — łatwy do przewidzenia skutek wcześniejszych działań.

— Myślę, że się udało! — krzyknął. Zablokował mikroskopy, wyregulował obraz i skierował się ku splotom DNA w poszukiwaniu zniekształcenia spowodowanego przez hydroxyl, czyli wadliwy enzym. Stał się na nowo panem i stwórcą. Komórka matka decydowała o całym organizmie. Poczuł się w obowiązku dokończenia budowy delikatnej fabryki chemicznej w strukturze wewnętrznej.

— Gotowy do modelowania — oznajmił. Srengaard włączył generator laserowy.

— Gotowe.

— Cykl Krebsa: 71 — powiedziała manipulatorka.

— Pierwsza faza modelowania — oznajmił Potter.

Wycelował i wystrzelił pierwszy ładunek, obserwując chaos, który spowodował.

Wypustki hydroxylu zniknęły, nukleotydy przegrupowały się.

— Hemoproteina P.450 — poprosił chirurg. — Przygotować się do zmniejszenia NADH.

Czekał, a w tym czasie globulki protein mieszały się na jego oczach, poszukując molekuł aktywnych biologicznie.

— Teraz — instynkt i doświadczenie wskazały mu odpowiedni moment. — Dwie i pół dawki P.450 — dodał.

Wiele łańcuchów polipeptydów rzuciło się do środka komórki, tworząc wir.

— Przystopować! — rozkazał Potter.

Srengaard dotknął regulator NADH. Nie mógł nic widzieć ze spektaklu, który rozgrywał się przed oczami jego kolegi. Główna kamera przekazywała tylko fragment obrazu spod mikroskopu. Widok ten, plus rozkazy Pottera, informowały go o powolnych przemianach wewnątrz komórki.

— Cykl Krebsa: 59.

— Druga faza — zaanonsował Potter.

— Gotowi — odpowiedział Srengaard.

— Potter, który poszukiwał izowaliny odpowiedzialnej za myxoedene, znalazł ją wreszcie. Obraz porównawczy izowaliny ukazał się w górnym rogu pola widzenia chirurga. Potter obejrzał go. „Cięcie” — pomyślał. Obraz porównawczy zniknął.

— Cykl Krebsa; 4 — ciągnęła manipulatorka. Chirurg sapiąc wciągnął głęboko powietrze. Jeszcze 27 punktów i… Embrion Durantów umierał.

— Cykloseryna gotowa — oznajmił Srengaard.

— Ach, ten stary, dobry Sren! — pomyślał Potter. — Nigdy nie trzeba mu mówić, co ma robić.

— Obraz porównawczy D-4 Aminizexolidonu-3 — poprosił chirurg. Manipulatorka przygotowała kliszę.

— Obraz porównawczy gotowy.

— Widzę — mmknnął Potter. — Preparat numer 8. — Obserwował wojnę enzymów. Grupy aminowe pięknie oczyściły pole widzenia. RNA znalazł się już na swoim miejscu.

— Cykl Krebsa: 38,6.

„Trzeba mieć nadzieję" — pomyślał Potter. Embrion nie przetrzyma jeszcze jednej zmiany.

— Zmniejszyć zastój w probówce do połowy — rozkazał.

— Zastój zmniejszony — powiedział Srengaard myśląc: „O to chodzi". Zawczasu przygotował zbiornik z kwasem.

— Proszę podawać wskaźnik cyklu Krebsa co pół punktu — zażądał chirurg.

— 35 — zaczęła manipulatorka — 34,5… 34… 33,5… Rytm jej głosu przyspieszył się, emocje zapierały jej dech: 33… 32… 31… 30… 29…

— Przerwać zastój — polecił Potter. Wysłać histydynę aktywną na całość. Zacząć z pirydoxyną.

Palce Srengaarda przebiegły po przyrządach.

— Więcej protein — syknął Potter.

— 22 — rozpoczęła manipulatorka… 21,9… 22… 21,8… 22,1… 22,2… 22,1… 22,2… 22,3… 22,4… 22,5… 22,6… 22,5…

Wszystkie nerwy Pottera były napięte do granic wytrzymałości. Morula osiągnęła granicę śmierci. Mogła żyć, lub zginąć w następnej minucie. Mogła też przeżyć zdeformowana, ale każda wada była zawsze zbyt duża. Wtedy odwracano probówkę i wylewano zawartość do zlewu.

Potter ciągle czuł się związany z embrionem, nie miał siły się od niego odłączyć.

— Desensybilizator mutagenów — rozkazał. Srengaard zawahał się przez chwilę. Cykl Krebsa spadał.

Rozumiał motywy Pottera, ale nie można było lekceważyć ryzyka raka. Zastanawiał się, czy warto zaprotestować. Embrion utrzymywał się 4 punkty nad granicą nicości.

Wprowadzenie mutagenów chemicznych w tym stadium operacji mogło spowodować nagłe powiększenie embriona, jak również zniszczyć go zupełnie. Nawet gdyby kuracja okazała się skuteczna, nie usuwało to ryzyka raka.

— Desensybilizator mutagenów — powtórzył Potter. Srengaard muskając przyciski nie spuszczał oczu z ekranu wskazującego cykl

Krebsa. O ile wiedział, nigdy nie poddano tak drakońskiej kuracji embriona tak bliskiego śmierci. Dotychczas zabiegi były stosowane w przypadku źle uformowanych, sterylnych embrionów. Użycie mutagenów pociągało za sobą niekiedy katastroficzne skutki. To tak, jak potrząsać wiadrem piasku, żeby wyrównać powierzchnię. Czasami zarodek poddany mutagenom okazywał się zdolnym do życia i reprodukcji, ale już nigdy Nadczłowiekiem…

Po zmniejszeniu powiększenia Potter zaczął obserwować ruchy embriona. Dotykał delikatnie manipulatora poszukując śladów Nadczłowieka, ale w komórce panowało nadal zbyt wielkie zamieszanie.

— Cykl Krebsa: 29.

„Zaczyna się wspinać" — powiedział półgłosem Potter.

— Ale powoli — zauważył Srengaard.

Potter nie spuszczał moruli z oczu. Powiększała się w stałym rytmie. Niezwykła ilość energii skupiona w tej maleńkiej przestrzeni nie przestawała walczyć.

— Cykl Krebsa: 30.4.

— Wycofuję mutageny — oznajmił Potter. Przeniósł mikroskop na komórkę peryferyjną i zaczął szukać deformacji.

Komórka była doskonała.

Z coraz większym zdziwieniem kontynuował swoje poszukiwania wzdłuż podwójnego splotu DNA.

— Cykl Krebsa: 36,8 i ciągle wzrasta. Mam wprowadzić cholinę i neurynę? — spytał Srengaard.

Potter, skoncentrowany nad strukturą genetyczną, przy- taknął machinalnie. Skończył badanie i przeszedł do następnej komórki.

Również doskonała.

Modyfikacja struktury utrzymała się. Chodziło więc o strukturę trwałą. Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd w historii ludzkości w ciągu ostatnich dwóch wieków. Jeszcze raz sprawdził: komputer dostarczył wszystkie dane. Nigdy nie wyrzucono ani nie zgubiono żadnego raportu. W polu obserwacji rozciągała się struktura klasyczna. Miał okazję oglądać ją codziennie podczas studiów lekarskich. Struktura supergeniusza, która skłoniła Srengaarda do wezwania specjalisty z Centrum, znajdowała się tu, przed nim, wzmocniona modelowaniem. Na dodatek była połączona ze strukturą płodności. Oznaki długowieczności wyraźnie rysowały się w konfiguracjach genów.

Jeśli ten embrion po osiągnięciu dojrzałości napotka płodną partnerkę — myślał w Potter — będzie mógł się reprodukować i tworzyć dzieci bez interwencji chirurga genetycznego. Nie będzie potrzebował enzymów, aby przeżyć. Mimo wszystko powinien żyć dwa razy dłużej niż zwykły człowiek. Dzięki kilku precyzyjnym

interwencjom enzymatycznym może nawet osiągnie nieśmiertelność. Z tego embriona mogłaby narodzić się nowa rasa, podobna do nieśmiertelnych z Centrum. Z jedną ważną różnicą: jej potomstwo podlegałoby prawu selekcji naturalnej, a nie prawom Nadludzi.

Żadna istota ludzka nie mogła żyć, jeżeli jej komórki oddaliły się zbytnio od tej podstawowej struktury. Ta struktura była jedynym zagrożeniem dla Nadludzi.

Selekcja naturalna jest zbrodniczym wariactwem skazującym swe ofiary na prowadzenie ślepego i nietypowego bytu — to wpojono wszystkim chirurgom podczas studiów.

Potter był przekonany, że embrion Durantów, jeżeli osiągnie dojrzałość, spotka płodnego partnera. „Z zewnątrz" otrzymał ten dar i dawkę argininy, źródło pło dności. Później strumień mutagenów wyzwolił aktywność DNA.

„Dlaczego wprowadziłem mutageny właśnie w tym momencie?" — dziwił się chirurg. — „Wiedziałem, że to konieczne, ale skąd? Czy byłem narzędziem tej zewnętrznej potęgi?…"

— Cykl Krebsa: 59, ciągle wzrasta — powiedział Srengaard.

Potter zaczął się niecierpliwić. Chciał móc swobodnie porozmawiać o tym wszystkim ze Srengaardem! Lecz byli ci cholerni rodzice, no i oczywiście agenci SB. „Ciekawe, czy ktoś widział tyle, żeby zrozumieć co się stało? Dlaczego to zrobiłem?"

— Czy może pan już określić strukturę? — spytał Srengaard.

— Jeszcze nie — skłamał Potter.

Embrion rozwijał się w szybkim tempie. Doskonałość komórek była naprawdę zupełna.

— Cykl Krebsa: 64,7.

„Za długo czekałem" — pomyślał Potter. Ważniacy z Centrum będą się mnie pytali, dlaczego tak długo zwlekałem z zabiciem tego embriona. Ale nie mogę tego zrobić. On jest zbyt piękny…"

Centrum utrzymywało się przy władzy, ukrywając ją. Mimochodem rozdawało swym niewolnikom życie pod postacią enzymów.

Powiedzenie Masy mówiło: „Na tym świecie są dwa światy, jeden nie pracuje i zawsze żyje, drugi żyje i zawsze pracuje".

W laboratorium, w probówce z kryształu, odpoczywał mały zbiór komórek. Żywy organizm mierzący mniej więcej 0,6 milimetra średnicy. Miał też w sobie moc wyrwania się spod władzy Centrum.

Musiał więc zginąć.

„Jeśli nie rozkażę go zabić, będą mnie podejrzewać… będę skończony. Przypuśćmy, że to coś zostanie zostawione w spokoju. Co się stanie? Co będzie z chirurgią genetyczną? Czy powrócimy do poprawek mniejszego rzędu? Do stadium, w którym byliśmy przed narodzinami Nadludzi?"

Zrobił w myślach to, czego nie mógł zrobić w rzeczywistości: przeklął Nadludzi. Posiadali niezmierzoną moc, byli panami życia i śmierci. Większość z nich była prawdziwymi geniuszami. Lecz byli zależni od dawek enzymów tak samo, jak pierwszy lepszy Steryl. Zresztą w tych obu grupach znajdowały się jednostki równie wybitne, na przykład chirurdzy…

Jednak żaden człowiek nie mógł nie docenić jednej rzeczy: nieśmiertelności.

— Cykl Krebsa ustabilizował się na sto.

— Nareszcie — rzekł Potter, spoglądając na manipulatorkę.

Schylona nad tablicą rozdzielczą kobieta była zwrócona do niego plecami. Bez zapisu można by załatwić ten wypadek. Srengaard nic nie widział. Główna kamera tylko częściowo obejmowała pole widzenia mikroskopu. Pielęgniarki od probówki nie były w stanie zrozumieć co się stało. Tylko manipulatorka mogła wiedzieć… Poza tym była ta taśma i zbiór impulsów magnetycznych zapisany na niej. Służba Bezpieczeństwa i Nadludzie będą mieli co oglądać…

— Nigdy nie widziałem, żeby jakiś embrion przeżył coś takiego — powiedział Srengaard.

— Do ilu zszedł? — spytał Potter.

— 21,9… 20 jest ostatnią granicą, ale w praktyce poniżej 25 kończą się szansę przeżycia. Prawda?

— Oczywiście.

— Czy udało się nam osiągnąć to, co chcieliśmy?

— Jeszcze nie wiem.

— Oczywiście, lecz cokolwiek by się stało, zawsze będę powtarzać, że była to wielka sztuka.

„Wielka sztuka… Ciekawe, co powiedziałby ten dureń, gdyby wiedział co jest w probówce? Doskonały embrion. Doskonały! Zabić go, powiedziałby z pewnością. Ten embrion nie potrzebuje żadnych enzymów, żeby prokreować, jest bez wad. Doskonały. Sren jest tylko doskonałym niewolnikiem. On nic nie wie, ale w Centrum niedługo się dowiedzą i rozkażą: Wyeliminujcie go!… ONI nie lubią używać słów: morderstwo i śmierć”.

Potter na nowo pochylił się nad mikroskopem. Jakże było piękne to źródło niepokoju. Chirurg znów spojrzał w kierunku manipułatorki. Właśnie w tym momencie kobieta odwróciła się zdejmując maskę i ich wzrok się skrzyżował. Uśmiechnęła się. Wiedziała!!! Podniosła rękę by wytrzeć twarz z potu. Jednym z rękawów zahaczyła o przycisk na kontrolce. Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt. Pielęgniarka odwróciła się.

— O mój Boże! — krzyknęła.

Zaczęła przebierać palcami po klawiszach, ale bezskutecznie. Taśma dalej podlegała kasacji. Kobieta starała się zerwać przezroczystą osłonę, pod którą ginął zapis operacji.

— Straciłam nad tym kontrolę! — krzyknęła.

— Zablokowało się na kasacji — jęknął Srengaard skacząc jej na pomoc. Jednak osłony nie dało się odblokować.

Potter obserwował ich jak w transie. W końcu usłyszał suchy trzask — taśma skończyła się.

— Ojej, doktorze, straciliśmy zapis — jęknęła manipulatorka.

Potter skierował wzrok na ekran, który się przed nią znajdował. „A może nie zrobiła tego specjalnie? Może nie wie o wszystkim".

W tej chwili kobieta odwróciła się i ich spojrzenia spotkały się znowu.

— Bardzo mi przykro, panie doktorze.

— Nie szkodzi. To całkiem zwyczajny embrion. Jeśli nie liczyć faktu, że jeszcze żyje. — Ponieśliśmy klęskę z powodu mikrogenów? — spytał Srengaard.

— Tak — odparł Potter — ale bez nich stracilibyśmy embrion.

Mówiąc to, obserwował twarz pielęgniarki i wydawało mu się, że dostrzegł na niej wyraz ulgi.

— Ustnie przekażę raport o operacji. To wystarczy.

I pomyślał: „Kiedy zaczyna się konspiracja? Czy to jest początek?" Jeśli to była konspiracja, to opierała się ona na bardzo dziwnych zasadach. Każdy, kto znał się na genetyce, po jednym spojrzeniu przez mikroskop przyłączyłby się do spisku albo został zdrajcą…

— Można wyłączyć kamery i zaprowadzić rodziców do saloniku. Przykro mi, że nie mogłem zrobić nic więcej. W każdym bądź razie będzie to zdrowy człowiek.

— Steryl? — spytał Srengaard.

— Jeszcze nie wiadomo.

Potter obserwował manipulatorkę, której udało się wreszcie otworzyć aparaturę i wyjąć czystą taśmę.

— Czy zna pani powód awarii?

— Ten sprzęt nie jest już pierwszej młodości. Prosiłam wielokrotnie o nowy, ale nie jesteśmy na liście spraw pilnych.

„Centrum zawsze wahało się z uznaniem czegokolwiek za zużyte" — dodał w myślach.

— Tak — powiedział głośno Srengaard — ale teraz go chyba wymienią.

„Czy ktoś spostrzegł, jak naciskała ten przycisk?" Starał się przypomnieć sobie, gdzie wszyscy patrzyli w tym momencie.

„Jeśli Służba Bezpieczeństwa widziała, to już po pielęgniarce i po mnie zresztą też…"

— Raport o awarii będzie musiał być dołączony do dokumentacji operacji — zaczął Srengaard. Wydaje mi się…

— Zajmę się tym osobiście — przerwała mu pielęgniarka.

Tymczasem Potter zastanawiał się, czy powinien porozmawiać z

Durantami.

„Jeśli należą do Ruchu Oporu, mogą mi pomóc. Trzeba coś zrobić dla tego embriona. Najlepiej wynieść go stąd, ale jak? Ktoś musi zawiadomić rodziców".

— Rodzice będą zawiedzeni — zauważył Srengaard. Domyślali się zapewne, po co wezwano specjalistę z Centrum. Musieli mieć nadzieję…

Drzwi od poczekalni otworzyły się i wszedł agent SB. Przeszedł przez pomieszczenie i stanął przed chirurgiem. „Czy to koniec?" — przeleciało przez myśl Potterowi.

— Co z rodzicami? — spytał, starając się zachować spokojny ton głosu.

— Czyści jak śnieg — odparł agent — żadnej aparatury, zwykła rozmowa. Wszystko w porządku.

— Nic podejrzanego? — zaciekawił się Potter. — A czy nie mogli oszukać SB nie stosując żadnej aparatury?

— Niemożliwe! — warknął agent.

— Doktor Srengaard uważa, że ojciec ma zbyt rozwinięty instynkt opiekuńczy, a matka macierzyński.

— Według dokumentacji, to pan ich wymodelował.

— Być może. Czasami, aby uratować embrion, trzeba opuścić pewne szczegóły.

— Mam nadzieję, że dzisiaj nic pan nie opuścił? Taśma uległa zniszczeniu przez… przypadek.

„Podejrzewa coś?" Z nadludzkim wysiłkiem udało się chirurgowi zachować spokój.

— Oczywiście, wszystko jest możliwe — odparł wzruszając ramionami. Lecz to zupełnie pospolity przypadek. Podczas modelowania utraciliśmy pożądaną formę. Niedługo zresztą przekażę wam swój raport, równie dokładny co taśma.

— Zgoda.

Widząc jak Srengaard wyjmuje probówkę spod mikroskopu, Potter odetchnął z ulgą. Zniknęło ryzyko ciekawskiego spojrzenia. — Obawiam się, że wzywałem was niepotrzebnie — powiedział do agenta. Ale rodzice upierali się, by obserwować operację.

— Wolę dziesięć fałszywych alarmów, niż jedną parę zbyt dobrze poinformowaną. Jak doszło do zniszczenia taśmy?

— Zużyty sprzęt, raport techników będzie niedługo gotowy.

— Dajcie sobie spokój. Przekażę go ustnie. Wszystkie pisemne raporty Allgood musi pokazywać Trójcy.

Potter ze zrozumieniem skinął głową. Pracownicy Centrum starali się nie niepokoić Nadludzi złymi wiadomościami.

— Niebawem przestanie to mieć znaczenie — powiedział agent wychodząc. Chirurg, obserwując go doszedł do wniosku, że był

wymodelowany dokładnie tak jak trzeba, aby spełniać swoją pracę. Zimna, logicznie myśląca, ale nie za ciekawska maszyna.

„Gdyby popytał mnie jeszcze trochę, nie wytrzymałbym”.

Potter zaczął wierzyć w sukces tej dziwnej przygody. Uznał, że agent uwierzył w jego wyjaśnienia.

W tym momencie uświadomił sobie, iż tak dobrze zna poszczególne typy genetyczne, że powinien określić znaczenie każdego grymasu.

„Mogę czytać w myślach!” Było to ważne odkrycie. Spojrzał po kolei na wszystkich obecnych w pomieszczeniu. Kiedy jego wzrok padł na manipulatorkę, wiedział na pewno, że zniszczyła zapis specjalnie.

Rozdział 4

Po rozmowie z lekarzami Lizabeth i Harrey Durant opuścili szpital trzymając się za ręce. Uśmiechali się jak dzieci po powrocie z pikniku. Przestało padać, chmury przesuwały się w kierunku gór otaczających Seatac Megalopolis. Słońce świeciło.

Grupa ludzi biegnących przez park przecięła im drogę. Byli to gimnastykujący się robotnicy. Jedynie drobne dodatki różniły ich jednolite stroje. Te próby indywidualizacji wymierzone w powszechny, społeczny uniformizm zbulwersowały Lizabeth. Wolała odwrócić głowę, aby móc się dalej uśmiechać.

— Gdzie idziemy? — spytała.

— Hm? — Harrey wziął ją pod ramię i zaczekał aż tamci ich miną.

Niektórzy z przebiegających robotników popatrzyli z zazdrością na młode małżeństwo. Zapewne domyślili się, dlaczego Durantowie tu byli. Budynek szpitala, stroje obojga i ich uśmiechy — wszystko wskazywało na to, że otrzymali zgodę na rozmnażanie.

Każdy chciał uciec w ten sposób od rzeczywistości. To było marzenie wszystkich. Nawet Steryle nie tracili nadziei.

„Oni nie mają przeszłości” — pomyślała Lizabeth. „Skoro tak, nie mogą też zaczepić gdzieś swej przyszłości. Nasza przeszłość również zginęła w Nocy Czasów. Nadludzie i chirurdzy ją zniszczyli”.

Mimo wszystko, zgoda na rozmnażanie nie traciła nic ze swej atrakcyjności. Nie musieli już pędzić o świcie do pracy, każde w inną stronę. Nadal jednak byli ludźmi bez przeszłości, a ich przyszłość mogła zostać unicestwiona w każdej chwili. To dziecko w probówce… W pewnym sensie pozostawało nadal ich częścią, ale chirurdzy już je zmienili, oderwali od przeszłości.

Lizabeth przypomniała sobie swoich rodziców. Wydawali się jej zupełnie obcy ze względu na różnice genetyczne.

„Byli tylko w połowie moimi rodzicami i wiedzieli o tym, ja zresztą też”.

Czuła rosnący dystans między sobą a dzieckiem. „Po co walczyć?” — myślała, lecz wiedziała dobrze, jaki jest sens walki.

Ostatnia twarz wykrzywiona grymasem zawiści przemknęła obok nich. Chwilę później, robotnicy byli już tylko szarymi plamami, które zniknęły za rogiem.

„Czy przekroczyliśmy pewną granicę bez możliwości powrotu?” — pytała samą siebie Lizabeth.

— Wsiądźmy do rakietki komunikacyjnej — powiedział Harrey.

— Przez park?

— Tak.

— Możesz to sobie wyobrazić? Dziewięć miesięcy…

— I będziemy mogli zabrać syna do domu! Mamy szczęście!

— Dziewięć miesięcy to długo.

— Tak, ale za trzy miesiące, gdy przeniosą go do inkubatora, pozwolą nam odwiedzać go co tydzień.

— Masz rację. Na szczęście nasz syn będzie zwykłym człowiekiem, będziemy więc mogli sami go wychowywać.

— Co za as z tego Pottera!

Jednocześnie palcami przekazali sobie wiadomości w tajnym kodzie Członków Ruchu Oporu.

„Ciągle nas śledzą” — ostrzegł Harrey.

„Wiem”.

Srengaard nic nie wie. To tylko niewolnik systemu”.

„To jasne, ale nie wiedziałem, że manipulatorka jest jedną z naszych”.

„Też to zauważyłaś?”

Potter obserwował ją gdy nacisnęła przycisk”.

„Myślisz, że Służba Bezpieczeństwa też to zauważyła?”

„Na pewno nie. My ich zajmowaliśmy w zupełności”.

„Być może ona nie jest jedną z nas…”

— Jaki piękny dzień — powiedział na głos Harrey.

„Myślisz, że jej reakcja była przypadkowa?”

„Możliwe. Widząc, co zrobił Potter, zrozumiała, że jest to jedyny sposób uratowania embrionu”.

„W takim razie trzeba natychmiast nawiązać z nim kontakt”.

„Ostrożnie. Ona może być niestała i cierpieć na zaburzenia nerwowe”.

„A Potter?”

„Z nim trzeba się spotkać natychmiast. Będziemy go potrzebowali, by zabrać embrion”.

„To już dziewiąty chirurg z Centrum”.

„Jeśli na to pójdzie”.

„Wątpisz w to?”

„Miałem wrażenie, że czytał we mnie, kiedy ja czytałem w nim”.

„Tak, masz rację, lecz w porównaniu z nami był zbyt powolny”.

„Wyglądał na debiutanta, to jasne. Bałam się, że wyczytałeś w nim coś, co mi uciekło”.

Idąc przez park obserwowali grę świateł na liściach drzew. Jednocześnie Lizabeth kontynuowała:

„Jestem przekonana, że to urodzony telepata, który przez przypadek odkrył swój talent. To się zdarza. Zresztą tym lepiej. Będziemy mieli mniej kłopotów z porozumiewaniem się z nim”.

„Oni postarają się nam przeszkadzać”.

„Tak. Dzisiaj, szpiegując nas omal nie wyszli ze skóry. Jednak

ludzie, którzy myślą jak automaty, nie odkryją nigdy naszej tajemnicy”.

„To ich pięta Achillesowa”.

„Centrum zna tylko logikę genetyczną. Tak już w tym ugrzęźli, że nie widzą prawdziwego świata”.

„I tego olbrzymiego Wszechświata, który nas otacza”…

Rozdział 5

Max Allgood, szef Służby Bezpieczeństwa, wspinał się po schodkach z plasmeldu w kierunku Administracji. Dwaj chirurdzy dreptali kilka kroków za nim, zachowując pełen szacunku dystans wobec człowieka obdarzonego prawie nieograniczoną władzą. Niebawem zatrzymano ich na obowiązkową kontrolę. Czujniki musiały stwierdzić, że nie przenoszą żadnych zarazków.

Allgood, poddając się próbie z cierpliwością świadczącą o pełnej rutynie, przyglądał się swoim towarzyszom: Bonmurowi i Iganowi. Bawiła go jedna rzecz: wszyscy, którzy tu przychodzili, musieli porzucić swe tytuły. Nie pozwolono wchodzić tu „lekarzom". Tylko „aptekarzom". Tytuł doktora żenował Nadludzi. Och, oczywiście wiedzieli o istnieniu lekarzy, lecz uważali ich tylko za osobniki leczące Masę. Tutaj używano wyłącznie eufemizmów. Nie mówiono o śmierci, morderstwach, ani nawet o zużyciu maszyn. Centrum zatrudniało Nadludzi dopiero „uczących się rządzenia" oraz zwykłych ludzi o młodym wyglądzie, choć niektórzy z nich byli od dawna sztucznie podtrzymywani przez swych panów.

Bonmur i Igan pozytywnie przeszli test młodości, mimo że ten pierwszy ze względu na pofałdowaną twarz wyglądał raczej staro. Nadrabiał to wzrostem, szerokimi barami i ogólnym wrażeniem krzepy i zdrowia. W porównaniu z nim Igan, szczupły i o szpiczastej szczęce, wydawał się mały i kruchy. Obydwaj mieli głębokie, niebieskie oczy. Jak Nadludzie. Z pewnością, tak jak większość chirurgów"aptekarzy" z Centrum, byli prawie-Nadludźmi.

Obaj mężczyźni speszyli się czując na sobie wzrok Allgooda. Bonmur po cichu odezwał się do swego kolegi, dotykając jednocześnie dłonią jego ramienia. Allgood przypomniał sobie, że gdzieś już widział podobny ruch palców. Ale gdzie?

Test przeciągał się. Szefowi SB wydawało się, że trwa dłużej niż zwykle.

Skierował swe myśli na inny tor. Zdał sobie sprawę, że dostęp do tajnych akt, a nawet starożytnych ksiąg, pozwolił mu osiągnąć wielką wiedzę o Centrum. Kraj Nadludzi rozciągał się na terytoriach zwanych dawniej Kanadą i Stanami Zjednoczonymi. Wewnątrz koła o średnicy siedmiuset kilometrów rozliczne ośrodki kontroli były rozmieszczone na dwustu podziemnych piętrach: kontrola czasu, genów, bakterii, enzymów i ludzi…

Mały sektor, w którym się znajdowało Centrum Administracji, urządzono aktualnie na wzór pejzażu włoskiego malowanego z zachowaniem kontrastów. Plamy pasteli położono na czerni i szarości. Nadludzie mieli skłonność zmieniać kształty gór tak, by odpowiadały

ich chwilowemu kaprysowi. Z tego powodu wnętrze Centrum podlegało ciągłym zmianom. Wygładzono na przykład wszelkie kąty. Kiedy jednak Nadludzie zaczynali bawić się siłami przyrody, całemu spektaklowi brakowało zawsze elementów dramatycznych. Wszystko było nijakie.

Allgood często zastanawiał się nad tym. Dzięki temu, że oglądał filmy poprzedzające ich panowanie, mógł zauważyć różnice. Obecny krajobraz ciągle kojarzył mu się z gabinetami oznaczonymi czerwonymi trójkącikami, w których Nadludzie otrzymywali swoje dawki enzymów.

— Albo mi się wydaje, albo trwa to dziś dłużej niż zwykle? — odezwał się Bonmur głębokim barytonem.

— Cierpliwości — odpowiedział Igan tenorem.

— Tak — odparł Allgood — cierpliwość jest najlepszą przyjaciółką ludzi.

Bonmur podniósł z ciekawością wzrok na szefa SB. Allgood mówił mało, chyba że chciał wywołać jakiś efekt. To on, a nie Nadludzie, był największym zagrożeniem dla konspiracji. Był ciałem i duszą oddany swoim panom. Supermarionetka.

„Ciekawe dlaczego kazał nam przyjść ze sobą? Czy wie o tym? Wyda nas?”

Nadzwyczajna brzydota Allgooda fascynowała doktora. Szef SB wyglądał jak przeciętniak z Masy. Mały, obleśny, świdrujące oczka i kosmyk czarnych włosów spadający na czoło — model tak charakterystyczny, że nie było mowy o pomyłce.

Allgood odwrócił się w tej chwili ku barierce i Bonmur zrozumiał nagle, że ta brzydota emanowała z głębi postaci. Była wynikiem ciągłego strachu. To odkrycie uspokoiło chirurga, który przekazał je ruchem palców łganowi. Tamten odpowiedział:

„Oczywiście że Allgood się boi. Żyje w atmosferze najrozmaitszych znanych i nieznanych lęków, jak Nadludzie… nędzne kreatury”.

Scena, która nastąpiła za moment, zapadła im w pamięć. Dotychczas trwała piękna wiosna, zaprogramowana na wszechmocnym komputerze do spraw pogody. Schody do Administracji prowadziły od niewielkiego jeziorka. Dalej, na małym wzgórzu, piedestały z plasmeldu tworzyły pompatyczną konstrukcję, w której znajdowały się drzwi do wind.

Nagle niebo pociemniało. Czerwone, zielone i purpurowe błyskawice zaczęły przecinać je według dość prymitywnego schematu. Rozległ się huk piorunu. Gdzieś w Centrum jakiś Nadczłowiek dla własnej przyjemności organizował burzę. Igan uznał spektakl za nudny. Brakowało rozmachu i ryzyka. Gra żywiołów była po prostu żałosna.

Dla Allgooda, burza była pierwszym dzisiaj widzialnym znakiem potwierdzającym jego poglądy o życiu w Centrum. Dziwne fakty tworzyły tę wiedzę. Ludzie znikali bez śladu i tylko on oraz kilku agentów godnych zaufania znało ich los. Poza tym burza odpowiadała jego nastrojowi. Hałas dawał poczucie władzy.

— Gotowe — zaanonsował Bonmur.

Odwracając się, Allgood zauważył, że bariera nareszcie się podniosła. Weszli do Sali Obrad. Migdałowe ściany wznosiły się wokół kilkudziesięciu rzędów ławek z plasmeldu. Cała trójka zaczęła iść przez obłoki wonnych oparów.

Służący, ubrani w zielone płaszcze nabijane diamentowymi szpilkami, podeszli, aby ich eskortować. Chmurki antyseptycznych dymów wydobywały się ze złotych pojemniczków, którymi kołysali w rytm kroków.

Allgood patrzył tylko na koniec pomieszczenia. Gimnastyczna kula o średnicy 40 metrów, czerwona jak korzeń mandragory, królowała tam otoczona świetlnymi promieniami. To było centrum kontroli Trójcy. Instrument, dzięki któremu Nadludzie rządzili swoim królestwem. Jedna część wycięta jak kawałek pomarańczy pozwalała zobaczyć wnętrze. Tutaj ogromne okrągłe ekrany wyświetlały wiadomości, na które reagowały czerwone migacze. Po szaroniebieskich powierzchniach bez przerwy przepływały liczby i ezoteryczne symbole.

W centrum kuli wznosiła się biała kolumna, podtrzymująca trójkątna platformę. Nadludzie siedzieli na złotych tronach, ustawionych po jednym w każdym rogu. Była to Trójca wybrana na jeden wiek i mająca przed sobą jeszcze 79 lat władzy. Drobnostka w porównaniu z długością ich życia. Nudnawy okresik, niekiedy denerwujący, bo musieli borykać się ze sprawami, które pozostali znali jedynie pod postacią eufemizmów.

Służący zatrzymali się dwadzieścia kroków przed szklaną sferą. Allgood postąpił krok do przodu, nakazując chirurgom pozostać na miejscach. Szef SB wiedział, dokąd mógł dojść. Tego dnia musiał posunąć się aż do ostatnich granic. „Oni mnie potrzebują” — pomyślał, nie pozbywając się jednocześnie świadomości ryzyka, jakie niosło to spotkanie. Podnosząc wzrok rzekł:

— Przyszedłem.

Bonmur i Igan powtórzyli to słowo jak echo. Przypominali sobie reguły protokołów: „Używajcie zawsze imienia Nadczłowieka, do którego mówicie. Jeśli zapomnieliście je, zapytajcie z pokorą”.

Szef SB czekał na odpowiedź. Czasami wydawało mu się, że Nadludzie utracili poczucie czasu. Sekundy i dni nie robiły im różnicy. Dla nieśmiertelnych zmiany pór roku były zawsze jak tykot zegara. Członkowie Trójcy, prawie nadzy, ubrani jedynie w błyszczące i

przezroczyste togi, siedzieli majestatycznie na tronach. Pierwszy z brzegu był Nurse, prawdziwy bóg grecki o marmurowej twarzy, grubych brwiach i muskularnej piersi. Oddychał wolno i regularnie. Trochę dalej, na prawo, siedział Schruilla. Chudy i kościsty, o wielkich, okrągłych oczach, wysokich kościach policzkowych i płaskim nosie. Według niektórych, Schruilla potrafił mówić o rzeczach nieistniejących dla Nadludzi. Raz w obecności Allgooda wymsknęło mu się słowo „śmierć". Inna sprawa, że mówił wtedy o motylu.

Ostatnią z Trójcy była Calapina. Szczupła, o wydatnym biuście, złocistobrązowych włosach, zimnych oczach i pełnych wargach oraz długim nosie. Allgood wielokrotnie zauważył, jak z zainteresowaniem patrzyła na niego. Znał historie o „zwykłych", wybieranych czasami przez Nadludzi jako partnerów do miłości.

Nurse powiedział coś do Calapiny. Kobieta mu odpowiedziała, lecz ich głosy nie były słyszalne na dole. Tymczasem Allgood obserwował ich, starając się odgadnąć, jaki mają humor. Ludzie z Masy wiedzieli, żeJSJurse i Calapina dzielili łoże przez czas równy setkom zwykłych ludzkich okresów życia. Nurse miał opinię energicznego, lecz postępującego w schematyczny sposób. Calapina zaś uważana była za niezrównoważoną. „Cóż ona znowu uczyniła?" — to pytanie padało zawsze, gdy w rozmowie wymieniono jej imię. Mówiono to tonem obawy zmieszanej z podziwem. Allgood znał tę obawę. Służył przedtem innym Trójcom, lecz żadna nie miała nad nim takiej władzy jak ta… zwłaszcza Calapina.

— Przyszedłeś — zagrzmiał Nurse. — Oczywiście, byk zna swojego pana, a osioł żłób.

„Więc to będzie tak" — pomyślał Allgood. — „Śmieszne! Jedyne wyjaśnienie: wiedzieli, że się pomylił — jak zawsze".

Calapina odwróciła twarz, by móc lepiej widzieć „zwyczajnych". Sala obrad została zbudowana na wzór Senatu rzymskiego, były nawet ozdobne kolumny. Całe pomieszczenie zwężało się w kierunku sfery.

Podnosząc oczy, Igan przypomniał sobie, iż zawsze bał się i pogardzał tymi kreaturami. „Co za szczęście, że nie jestem Nadczłowiekiem". Chociaż mało brakowało. Jako dziecko nienawidził ich, ale później litość przytemperowała to uczucie…

— Przyszliśmy, jak nam kazano, aby złożyć raport o Durantach — powiedział Allgood i dwa razy szybko zaczerpnął powietrza. Takie spotkania zawsze były niebezpieczne, ale ryzyko podwoiło się, odkąd zaczął prowadzić podwójną grę. Nie mógł się wycofać, zresztą nie miał na to ochoty, od czasu gdy odkrył swoje sobowtóry, gotowe do przejęcia jego funkcji. Już on im pokaże!

Calapina obserwowała Allgooda. Czy nadszedł już czas by pozbyć się tego okropnego samca z Masy? Może to rozproszyłoby nudę? Schruilla i Nurse mieli już podobne wyczyny na swoim koncie, a ona

chyba też pozbyła się kiedyś jakiegoś Maxa, lecz nie pamiętała, czy to zmniejszyło jej nudę.

— Mały Maxie, powtórz, co dajemy… — powiedziała. Ten ton przeraził szefa SB. Przełknął ślinę.

— Dajecie życie, Calapino.

— Ile masz lat?

Gardło Allgooda było zupełnie suche.

— Prawie czterysta — udało mu się wykrztusić. Nurse roześmiał się.

— Masz jeszcze wiele przed sobą, jeżeli będziesz nam dobrze służyć — powiedział.

Allgood nigdy nie słyszał, aby Nadczłowiek tak wyraźnie sformułował groźbę. Zwykle używali subtelnych aluzji i działali za pośrednictwem „zwyczajnych", którzy byli w stanie wymówić słowa „śmierć" i „zabójstwo".

„Kogo wymodelowali, żeby mnie zniszczył?" — zastanawiał się gorączkowo.

— Mnóstwo ślicznych, małych latek — dodała Calapina. — Tik — tak — tik — tak…

— Wystarczy — włączył się Schruilla, zastanawiając się dlaczego właściwie się odezwał. Czyżby brak równowagi enzymatycznej? Ta myśl zbulwersowała go. Zwykle podczas zebrań siedział cicho, bo zbyt łatwo wzruszał się losem tych robaków, a potem gardził sobą za nadmiar sentymentalizmu.

Bonmur stanął obok Allgooda.

— Czy Trójca żąda naszego raportu o Durantach? — spytał chirurg.

To nieproszone wtrącenie zdenerwowało Allgooda. Nadludzie muszą zawsze mieć wrażenie, że to oni panują nad sytuacją. Czyżby ten imbecyl o tym nie wiedział?

— Słowa i obrazy z waszego raportu zostały już przeanalizowane — rzekł Nurse. — Teraz chcemy poznać to, co pominięto. „Pominięto?" — zastanowił się Allgood. „Myśli, że coś ukryliśmy?"

— Mały Maxie — przerwała ciszę Calapina. — Czy zgodnie z naszym życzeniem przesłuchałeś już manipulatorkę pod hipnozą?

„Jestem w domu" — uspokoił się Allgood.

— Została przesłuchana, Calapino — odparł. W tej chwili Igan podszedł do Bonmura.

— Chciałbym powiedzieć coś na ten temat… — zaczął.

— Zamknij się, aptekarzu — uciął Nurse. — To z Maxem rozmawiamy.

Igan schylił głowę. „Jakie ryzyko ponosimy z powodu tej pielęgniarki. Na dodatek nie była jedną z naszych. Żaden Cyborg jej nie zna. Zwykła Sterylka przez przypadek naraziła nasze życie".

Allgood, widząc, jak chirurgowi trzęsą się ręce, zastanawiał się: „Co dzieje się z tymi dwoma? Chyba nie są aż tak głupi!”

— Czy manipulatorka działała świadomie? — spytała Calapina.

— Tak, Calapino — odparł Allgood.

— Wasi agenci nic nie zauważyli, lecz my wiemy, jak to było — Calapina odwróciła głowę, by spojrzeć na kontrolki, po czym znów zajęła się szefem SB:

— Wytłumacz nam dlaczego?

— Nie ma dla mnie usprawiedliwienia, Calapino — odparł Allgood z westchnieniem. Agenci zostali ukarani.

— Wyjaśnij nam dlaczego ona to zrobiła?!

Allgood zwilżył wargi koniuszkiem języka i zerknął na Igana i Bonmura. Dwaj chirurdzy patrzyli w ziemię. Znów spojrzał na Calapinę.

— Tego nie wiemy, Calapino.

— Nie wiecie? — spytał Nurse.

— E… Ona przestała istnieć w trakcie przesłuchania, Nurse.

Trójka Nadludzi poruszyła się na tronach.

— Wada w modelowaniu genetycznym, zdaniem aptekarzy.

— Godny litości wypadek — skomentował Nurse wiercąc się niespokojnie.

— Być może, było to starcie świadome — wtrącił Igan. „Co za imbecyl?” — pomyślał Allgood.

— Igan, byłeś tam? — spytał Nurse odwracając się ku chirurgowi.

— To Bonmur i ja zaaplikowaliśmy jej środki nasenne. „A ona nie żyje” — myślał Igan. „I to nie my ją

zabiliśmy. Tymczasem będą nam wypominać jej śmierć. Gdzie ona się nauczyła zatrzymywać pracę swego serca? Tylko Cyborgi znają takie sztuczki…”

— Świadome starcie? — zainteresował się Nurse. Gdyby to była prawda, konsekwencje byłyby straszne.

— Max — powiedziała Calapina schylając się. Czy postępowaliście z nią brutalnie? Torturowaliście ją?

Sprawdziła czujniki: spokojny. Mówi prawdę:

— Aptekarzu — rozkazał Nurse. — Przedłóż nam swoją •opinię.

— Zbadaliśmy ją dokładnie — odpowiedział Igan. — To nie była wina środków nasennych. Jest niemożliwe…

— Niektórzy myślą, że to wada genetyczna — wtrącił Bonmur.

— Nie wszyscy zgadzamy się z tym stanowiskiem — kontynuował Igan, spoglądając na Allgooda. Mimo iż czuł dezaprobatę szefa SB, nie mógł inaczej postąpić. Trzeba było wywołać u Nadludzi zakłopotanie. Kiedy poddawali się emocjom, zaczynali popełniać błędy. Plan wymagał pomyłek z ich strony. Trzeba było delikatnie i subtelnie zniszczyć ich poczucie równowagi.

— Max, twoja opinia? — spytał Nurse spoglądając na szefa SB.

— Pobraliśmy próbki tkanki i hodujemy duplikat. Jeśli kopia będzie identyczna, sprawdzimy funkcjonowanie organizmu.

— Szkoda, że duplikaty nie posiadają pamięci oryginałów — zauważył Nurse.

— O tak! Nieprawdaż Schruillo? — dodała Calapina. Ten ostatni spojrzał na nią nic nie mówiąc. Czyżby myślała, że może się z nim bawić jak z Masą?

— Czy ta kobieta miała towarzysza? — spytał Nurse.

— Tak, Nurse — odparł Allgood.

— Płodny związek?

— Nie, Nurse, to był Steryl.

— Wymieńcie ją. Pozwólcie mu wierzyć, że była nam wierna.

Allgood przytaknął.

— Damy mu nową żonę, Nurse. Będzie go ciągle obserwować.

Calapina wybuchnęła śmiechem.

— Dlaczego jeszcze nie wspomnieliśmy o Potterze? — spytała.

— Dochodziłem do tego, Calapino — odparł Allgood.

— Czy ktoś zbadał embrion? — spytał Schruilla podnosząc nagle wzrok.

— Nie, Schruillo.

— Dlaczego?

— Jeżeli chodzi o plan wydostania się spod kontroli genetycznej, nie chcemy, aby członkowie spisku dowiedzieli się, że ich podejrzewamy. Przynajmniej nie teraz. Najpierw musimy zdobyć więcej informacji. O Durantach, ich znajomych, Potterze, o wszystkich.

— Lecz embrion jest kluczem do całej sprawy. Co z nim zrobiono? Gdzie jest?

— To przynęta, która ma ściągnąć konspiratorów.

— Ale co z nim zrobiono?

— To bez znaczenia, Schruillo, dopóki możemy go… dopóki jest pod naszą kontrolą.

— W porządku, przyślij nam aptekarza Srengaarda — rozkazała Calapina.

— Srengaarda?… Calapino.

— Nie musisz wiedzieć dlaczego. Przyślij go.

— Tak, Calapino.

Podniosła się jakby chciała dać do zrozumienia, że spotkanie skończone. Służba podeszła, chcąc odprowadzić przybyszy, lecz Calapina jeszcze nie skończyła.

— Spójrz na mnie, Max. Allgood podniósł wzrok.

— Czyż nie jestem piękna?

Szef SB podziwiał jej zgrabną sylwetkę. Tak, była piękna, jak

wiele Nadkobiet. Lecz doskonałość tej urody wywoływała lęk. Miała już czterdzieści tysięcy lat i będzie żyła jeszcze nie wiadomo jak długo. Pewnego dnia jego organizm odrzuci dawkę enzymów i umrze, podczas gdy ona będzie dalej istnieć.

— Jesteś piękna, Calapino.

— Twoje oczy nigdy tego nie mówią.

— Cal, czego ty chcesz? — spytał Nurse. — Chcesz tego… Maxa?

— Chcę jego oczu, to wszystko.

— Ach, te kobiety! — wykrzyknął Nurse spoglądając na Maxa. W jego głosie zabrzmiał ton swoistej wspólnoty.

Allgood był zdumiony. Nigdy nie zauważył czegoś podobnego w głosie Nadludzi.

— Cicho! — syknęła Calapina. — Nie przerywaj mi żartami! Max, co czujesz do mnie w głębi duszy?

Ponieważ Max nic nie odpowiedział, Calapina dodała:

— Odpowiem za ciebie. Adorujesz mnie. Nigdy o tym nie zapominaj, bo się rozgniewam.

Ostatni raz spojrzała na Igana i Bonmura i gestem ręki pozwoliła im odejść.

Allgood spuścił głowę. Powiedziała prawdę, czuł to. Odwrócił się i otoczony przez służbę poszedł za chirurgami. Kiedy trzej mężczyźni doszli do schodów, stwierdzili, że są one zatarasowane jakąś kolorową budowlą w kształcie piramidy. Był to efekt urzeczywistnienia fantazji któregoś z Nadludzi. Natychmiast zmienili drogę z rutyną stałych bywalców tego terytorium. To instynkt prowadził lekarzy w tym labiryncie. Miejsce poddane kaprysom Nadludzi zmieniało się szybciej niż pracowaliby kartografowie.

— Igan! — krzyknął Allgood.

Chirurdzy odwrócili się i zaczekali, aż szef SB ich dogoni.

— Czy wy też ją adorujecie?

— Przestań mówić głupstwa — burknął Bonmur.

— Tak — odparł Allgood — nie należę do żadnej sekty zapładniaczy ani nie praktykuję żadnego kultu Masy. Jak mógłbym ją adorować?

— A jednak to robisz — stwierdził sucho Igan.

— Tak!

— Oni są naszą jedyną religią — mruknął Igan. — Nie trzeba być sekciarzem ani nosić talizmanu, by zdać sobie z tego sprawę. Calapina powiedziała ci po prostu, że jeśli istnieją jacyś konspiratorzy, to są to heretycy.

— To chciała powiedzieć?

— A ona zna los zarezerwowany dla heretyków lepiej niż ty i inni.

— Bez wątpienia — zakończył Bonmur.

Rozdział 6

Srengaard widział już ten budynek na trójwymiarowych seansach video… Wyrobił sobie o nim zdanie na podstawie opisu Sali Obrad, lecz nigdy nie marzył, że osobiście znajdzie się przed barierą antyseptyczną.

Kiedy szedł po schodach oglądając dziwne budynki na wzgórzach, przypominające szklane kwiaty, minęła go jakaś kobieta prowadząca wózek załadowany paczkami o dziwnych kształtach. Ich zawartość zaciekawiła Srengaarda, ale nie śmiał o cokolwiek zapytać. Czerwony trójkąt oznaczający aptekę lśnił na słupie kilkanaście kroków dalej. Minął go, rzucając spojrzenie na swego towarzysza. Przebył pół kontynentu w pojeździe zarezerwowanym dla niego i tego, ubranego na szaro, agenta SB. Teraz razem wkroczyli do Centrum.

Czuł się przytłoczony wspaniałością tego miejsca, ale czuł też panujący tutaj niepokój. Wiedział skąd pochodziło to wrażenie, ale nie mógł się go pozbyć. Wynikało ono ze starych przesądów ludowych, nie do końca wykorzenionych. Ludzie z Masy nie znali starożytnych legend z okresu sprzed wprowadzenia kontroli genetycznej. Byli przesiąknięci mieszaniną strachu i podziwu dla Centrum i Nadludzi. „Dlaczego mnie wezwali?" — zastanawiał się ciągle Srengaard, bo agent SB nic mu nie wyjaśnił.

Zatrzymani przez barierę czekali. Cisi i zaniepokojeni. Nawet agent wyglądał na zdenerwowanego, tak przynajmniej wydawało się Srengaardowi.

— Nie zapomniałeś reguł protokołu? — spytał agent.

— Nie.

— Kiedy już tam wejdziesz, idź w tym samym tempie co straże, które będą cię eskortować. Będziesz przesłuchany przez Trójcę: Nurse, Schruillę i Calapinę. Pamiętaj o zwracaniu się do nich po imieniu. Nigdy nie używaj słów „umrzeć", „zabić", „śmierć". W miarę możliwości unikaj nawet sformułowań o tym znaczeniu. Zostaw im prowadzenie rozmowy, nie przejmuj inicjatywy. Tak będzie lepiej.

Trzęsąc się, Srengaard wziął głęboki oddech.

„Wezwali mnie, aby dać mi awans. Na pewno tak, uczyłem się przy Potterze i łganie, a teraz sam znajdę się w Centrum".

— I nie wymawiaj słowa „lekarz". Tu są tylko „aptekarze" i „inżynierowie genetyczni".

— Zrozumiałem.

— Allgood czeka na pełny raport o tym spotkaniu.

— Tak, oczywiście. Bariera podniosła się.

— Czas na ciebie.

— Nie idzie pan ze mną?

— Nie zostałem zaproszony — odpowiedział agent odwracając się.

Przełknąwszy ślinę, Srengaard przeszedł przez posrebrzany portyk i znalazł się w wielkim holu, otoczony przez sześciu ludzi z nieodłącznymi kadzidłami. Srengaard wyczuł w dymie obecność antyseptyków.

Strażnicy doprowadzili go na odległość dwudziestu kroków przed szczelinę w kuli. Podnosząc oczy w kierunku Trójcy, rozpoznał Nurse siedzącego w towarzystwie Schruillii i Calapiny.

— Przyszedłem — oznajmił, po czym wymamrotał komplementy, których nauczył go agent.

Nurse zabrał głos:

— Jesteś inżynierem genetycznym, Srengaard.

— Tak… Nurse.

Znów wziął głęboki oddech. Czy zauważyli wahanie w jego głosie, w chwili gdy przypomniał sobie o obowiązku mówienia do nich po imieniu?

Nurse uśmiechnął się.

— Ostatnio byłeś asystentem podczas operacji na embrionie pary zwanej Durantami. Kierownikiem modelowania był Potter.

— Tak, Nurse, byłem asystentem.

— Doszło do wypadku podczas tej operacji — powiedziała Calapina.

Miała piękny śpiewny głos. Srengaard zdał sobie sprawę, iż nie zadała mu pytania, lecz chciała skierować jego uwagę na pewien fakt. Zaczął się na serio niepokoić.

— Wypadek… tak Calapino.

— Czy śledziłeś uważnie przebieg operacji? — spytał Nurse.

— Tak, Nurse — mówiąc to skierował wzrok na milczącego Schruillę.

— Więc teraz możesz nam wyjaśnić to, co ukrył przed nami Potter — zauważyła Calapina.

Srengaard z przerażeniem zdał sobie sprawę, że stracił głos, mógł tylko przecząco potrząsnąć głową.

— Nic nie zataił? To chcesz powiedzieć? — spytał Nurse. Srengaard przytaknął.

— Nie chcemy ci zrobić nic złego, Srengaard — włączyła się Calapina — możesz mieć do nas pełne zaufanie.

Lekarz znów przełknął ślinę.

— Ja… naprawdę… ja nie… nic nie zauważyłem. — Zamilkł, po czym przypomniał sobie o konieczności zwracania się po imieniu i dodał „Calapino”, akurat w momencie, gdy Nurse zaczai mówić. Nurse przerwał mu marszcząc brwi:

— Przyznałeś, że uważałeś podczas modelowania — rozpoczął

gniewnie.

Calapina westchnęła.

— Ja… nie miałem oczu cały czas przy mikroskopie, Nurse. Praca… asystenta polega na wydawaniu poleceń manipulatorce i naciskaniu klawiszy komputera.

— Powiedz nam teraz, czy manipulatorka była twoją przyjaciółką — rozkazała Calapina.

— Ja… ona — Srengaard zwilżył wargi końcem języka. „Czego oni chcą?" — Pracowaliśmy razem od lat, Calapino, lecz nie mogę powiedzieć, że się przyjaźniliśmy. Tylko pracowaliśmy razem.

— Czy obejrzałeś embrion po operacji? — spytał Nurse.

— Nie, Nurse. Moja praca polegała na podtrzymywaniu życia embriona i kontrolowaniu aparatury.

Srengaard wziął głęboki oddech. Może chcieli go tylko wypróbować, zadając mu te pytania?

— Teraz powiedz, czy Potter jest twoim przyjacielem — rzekła Calapina.

— Jest jednym z moich nauczycieli, Calapino.

— Lecz nie jest przyjacielem?

Srengaard skinął głową. Znowu poczuł, że jakieś niebezpieczeństwo wisi nad jego głową. Nie wiedział czego oczekiwać. Może czerwona kula zaraz przeturla się po nim? Nie, Nadludzie nie mogli robić takich rzeczy. Obserwował ich twarze, starając się coś z nich wyczytać. Jednak widział tylko gładkie, zimne oblicza. Mógł rozpoznać ich typy genetyczne. Bez tej całej tajemniczej atmosfery mogliby uchodzić za pierwszych lepszych Steryli z Masy.

Ludzie z Masy mówili, że Nadludzie wybrali bezpłodność, bo uważali narodziny za początek umierania. Lecz Srengaardowi ich cechy genetyczne mówiły coś innego.

— Dlaczego wezwałeś Pottera do tego przypadku? — spytał Nurse.

— Bo… struktura genetyczna embriona… prawie Nad-człowiek. Potter pracuje często w naszym szpitalu… mam do niego zaufanie. To błyskotliwy chirurg… inżynier genetyczny.

— Powiedz nam, czy przyjaźnisz się z jakimś innym aptekarzem z Centrum? — spytała Calapina.

— Oni… współpracują z nami czasami — odparł Srengaard.

— „Calapino"! — udzielił mu reprymendy Nurse, po czym wybuchnął śmiechem.

Srengaard poczerwieniał czując, że wzrasta w nim złość. „Czyżby oni umieli tylko siedzieć i rechotać?" Złość przywróciła mu głos.

— Jestem tylko szefem służby genetycznej jednego szpitala, Nurse. Prostym, dzielnicowym inżynierem. Zajmuję się zwykłymi operacjami, kiedy trzeba wzywam specjalistów. Obecność Pottera była

wskazana ze względu na okoliczności.

— Dlaczego on? — nalegał Nurse.

— Był jednym z tych, których znam i szanuję — odparł Srengaard zapominając dodać imię swego rozmówcy.

— Powiedz teraz, czy jesteś zdenerwowany? — słodko wyszeptała Calapina.

— Tak.

— Dlaczego?

— Dlaczego mnie tu sprowadziliście? Po co to przesłuchanie? Czy coś złego zrobiłem? Czy ukarzecie mnie? — wybuchnął lekarz.

Nurse uderzył się dłonią o udo.

— Śmiesz nam zadawać pytania.

Srengaard z przerażeniem spojrzał na Nadczłowieka. Mimo tonu głosu, twarz Nurse była spokojna. — Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby was zadowolić. Ale jak mam wam odpowiadać, skoro nie wiem, czego chcecie?

Gestem ręki Nurse powstrzymał Calapinę, która chciała coś powiedzieć.

— Chcielibyśmy cię zadowolić — powiedział patrząc zimno na Srengaarda — ale bez trudu zrozumiesz, że to niemożliwe. Jak mógłbyś zrozumieć to, co my rozumiemy? Czy w drewniany garnek można nalać kwas siarkowy? Zaufaj nam. Chcemy tylko twojego dobra.

Srengaard poczuł się podniesiony na duchu. Oczywiście zaufa im, są przecież elitą genetyczną ludzkości. „Oni nami kierują, kochają nas i opiekują się nami". Westchnął ciężko.

— Słucham.

— Odpowiedziałeś na wszystkie pytania, nawet na te, których nie zadaliśmy.

— Teraz musisz o wszystkim zapomnieć — dodała Calapina. — Nikomu nic nie mów o tej rozmowie.

— Nikomu, Calapino?

— Nikomu!

— Max Allgood kazał mi złożyć raport…

— Zapomnij o Maxie — ucięła zdecydowanie. — I nie bój się, my cię obronimy.

— Jestem na twoje rozkazy Calapino.

— Nie chcemy uchodzić za niewdzięczników. Doceniamy twoją lojalną służbę — dodał Nurse. — Chcemy, abyś dobrze o nas myślał. Naszym zadaniem jest chronienie ludzi.

— Tak, Nurse.

To były tylko puste słowa, lecz pozwoliły one Srengaardowi wiele zrozumieć. Zwłaszcza, że miał już pewne podejrzenia. W przypadkowym zniszczeniu taśmy nie było żadnego przypadku.

Bardzo dobrze, że zbrodniarze zapłacą za swoje czyny.

— Możesz odejść — powiedział Nurse.

Kłaniając się, Srengaard zastanawiał się, dlaczego Schruil la nie powiedział ani jednego słowa podczas całej rozmowy. Dlaczego tak go to niepokoiło? Na miękkich kolanach opuścił hol otoczony przez służbę.

Trójca obserwowała go aż do chwili, gdy zniknął za zasłoną ochronną.

— Jeszcze jeden, który nie wie, co udało się osiągnąć Potterowi — skomentowała Calapina.

— Naprawdę myślisz, że Max też nie wie? — spytał Schruilla.

— Jestem pewna.

— Więc powinniśmy mu powiedzieć.

— I zdradzić przy okazji sposób, w jaki my się o tym dowiedzieliśmy?

— Znam tę śpiewkę.

— Ten Srengaard to osobnik, na którym możemy polegać — zauważył Nurse.

— Kroczymy po ostrzu miecza i musimy uważać, gdzie stawiamy stopy. — mruknął Schruilla.

— Cóż za odrażający obraz — syknęła Calapina, po czym odwróciła się do Nurse.

— Powiedz mój drogi, czy nadal pasjonujesz się Leonardem da Vinci?

— Jego kreska to coś fantastycznego! Opanuję ją za jakieś 50-60 lat. To już niedługo.

— Pod warunkiem, że nie popełnisz błędu — z ironią dodał Schruilla.

— Pewnego dnia, Schruillo, twój cynizm cię zgubi — burknął Nurse. — Odwrócił się by spojrzeć na liczniki, sondy, kamery i ekrany, które wypełniały sferę.

— Dzisiaj wszędzie spokojnie, Cal — oznajmił. — Może zostawimy ten kram pod opieką Schruilli i pójdziemy się wykąpać, albo do apteki?

— Forma, forma — użalił się Schruilla. — Nie myśleliście nigdy o przepłynięciu dwudziestu pięciu długości basenu zamiast dwudziestu? — Mówisz dziwne rzeczy. Chcesz żebyśmy zachowali swoje równowagi genetyczne? Nie mogę cię zrozumieć.

— Bo nie starasz się tego zrobić.

— Co zatem mogę dla ciebie zrobić?

— Czuję się pogrążony w straszliwej monotonii. Możecie coś na to poradzić?

Nurse spojrzał na Schruillę, który coraz bardziej grał mu na nerwach. Zaczął żałować wspólnych zainteresowań i wymagań

cielesnych, które spowodowały, że zostali wybrani do jednej Trójcy.

— Nuda — zauważyła Calapina wzruszając ramionami.

— W nudzie można znaleźć egzystencjalną głębię — powiedział wesoło Nurse. — Chyba Yoltaire to wymyślił.

— A ja myślałem, że przynajmniej tobie udało się osiągnąć coś oryginalnego — stwierdził cierpko Schruilla.

— Od czasu do czasu zajmowanie się drobnostkami przynosi ulgę.

— Naprawdę? — spytał Schruilla.

— Pomyśl o tej biednej manipulatorce. Abstrakcyjnie oczywiście: nie odczuwasz dla niej litości ani żalu? — spytała Calapina.

— Litość jest zbędnym uczuciem, a żal jest zbyt podobny do cynizmu — odparł Nurse.

Schruilla uśmiechnął się.

— To przejdzie, idźcie popływać. I myślcie o mnie, sterczącym na tej grzędzie.

Nurse i Calapina podnieśli się.

— Skuteczność jest najważniejszą sprawą — rzucił na odchodne Nurse.

Schruilla marzył tylko o jednym: żeby jak najszybciej sobie poszli. Nic nie rozumieli i nie chcieli zrozumieć. Toteż gdy Calapina zaczynała coś mówić, nie wytrzymywał i przerywał jej.

— Skuteczność jest przeciwieństwem giętkości, pomyślcie nad tym.

Nurse i Calapina wyszli bez słowa.

Był nareszcie sam, otoczony przez migające zielono, niebiesko i czerwono Centrum kontroli. Właściwie nie był zupełnie sam, bo ekrany kontrolne połyskiwały nad jego głową. Naliczył dziewięćdziesiąt jeden czynnych. Tylu kolegów, lub grupek kolegów, którzy obserwowali jego pracę, tak samo jak on obserwował Masę i jej czynności.

Denerwowały go te ekrany. Przed wybraniem do Trójcy, nigdy nie kontrolował działalności Centrum Kontroli. Zawsze znajdował sobie inne zajęcia. Czyżby dawni zarządcy zainteresowali się, jak sobie radzą ich następcy? Któż mógł ich obserwować?

Mimo wszystko Schruilla zajmował się aparaturą. W chwilach takich jak ta czuł się jak Chen Tzu-ang — „Pan Prawdy", który widział świat w butelce. Jego butelką była sfera. Dotykając pierścień energetyczny na poręczy swego fotela, mógł popatrzeć na jakąś parę w trakcie stosunku płciowego w Yarsapolis, obejrzeć embrion w jakiejś probówce w Londynie, czy rozprzestrzenić gaz hipnotyczny nad parkiem w Pekinie. Kiedy zechciał, mógł też przeanalizować przemieszczanie się dowolnej grupy roboczej, na przykład w Rzymie.

Mimo to, nie stać go było na wykonanie żadnego gestu. Starał się przypomnieć sobie, ile ekranów obserwowało go podczas pierwszych

lat służby w Trójcy. Mógł przysiąc, że ich liczba nigdy nie przekraczała dziesięciu — dwunastu. Teraz było ich dziewięćdziesiąt jeden!

„Powinienem był ostrzec ich przed Srengaardem. Nie możemy mieć zbytniego zaufania do niewolników. Poza tym Srengaard mnie żenuje”.

Ale Nurse i Calapina na pewno broniliby Srengaarda, twierdząc, że to człowiek uczciwy, lojalny i godny zaufania. Założyliby się o wszystko, że jest lojalny.

„O wszystko?” — zastanawiał się Schruilla. „Czy aby na pewno?” Wydawało mu się, że słyszy Nurse mówiącego tym pompatycznym głosem: „Nasza opinia o Srengaardzie jest pozytywna”.

„Oto co mi przeszkadza. Srengaard nas uwielbia… jak Max, lecz to uwielbienie składa się w dziewięćdziesięciu procentach ze strachu. A z czasem strach decyduje o wszystkim.

Schruilla podniósł wzrok i powiedział na głos: — Czas, czas, czas…

„Niech sobie na tym połamią mózgi ci obserwatorzy z sufitu” — pomyślał.

Rozdział 7

Przed nimi rozciągała się stacja oczyszczania ścieków Seatac Megalopolis. Długie szeregi basenów z osadem czynnym i zbiorników na wodę oczyszczoną. Cztery piętra instalacji i komputerów zasilanych energią uzyskaną ze spalania biogazu.

Durantowie dotarli tam pneumią, podczas wieczornego szczytu. Jeździli zygzakiem, aby upewnić się, że nikt ich nie śledzi. Mieli za sobą pięć śluz inspekcyjnych. Mimo to także teraz nadal pilnie zwracali uwagę na twarze i gesty przechodniów. W większości byli to robotnicy zajęci swoimi sprawami. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, gdy ubrani w brązowe robocze kombinezony znaleźli się na rampie dziewiątej stacji pomp. Tam zatrzymali się, aby spojrzeć na okolicę. Byli zmęczeni, ale również zaniepokojeni tym nagłym wezwaniem do Centrum Ruchu Oporu. Lizabeth głośno oddychała. Cicha rozmowa prowadzona za pomocą rąk zdradzała jej zdenerwowanie. Harrey robił co mógł, aby ją uspokoić.

— Na pewno spotkamy Glissona, powiedział.

— Inne Cyborgi też mogą nosić to imię.

— To możliwe.

Skierowali się na lewo, mijając dwóch robotników zajętych sprawdzaniem przepływomierzy. Lizabeth przekazała: — Skąd możemy wiedzieć, że nas nie szpiegują?

— To miejsce jest bezpieczne, wiesz dobrze.

— Jak to możliwe?

— Na kamery nałożono filtry obrazu sprzężone z komputerem. „Nad" widzą tylko to, co chcemy żeby widzieli.

— To trochę ryzykowne ufać tym aparatom. Po co nas wezwano?

— Dowiemy się za kilka minut.

Gdy weszli do magazynu narzędzi, drzwi zamknęły się za nimi, a następnie ukazała się jakaś postać, która usiadła naprzeciw nich. Durantowie patrzyli w milczeniu. Poznali go i to sprawiło, że ogarnął ich niesmak. Osoba przed nimi nie była ani to mężczyzną ani to kobietą. Tamten wyciągnął jakieś przewody z kieszeni i podłączył je do komputera.

Harrey skoncentrował się na kwadratowej, topornej twarzy Cyborga i jego jasnoszarych oczach o charakterystycznym chłodnym spojrzeniu.

— Glisson — powiedział — wezwałeś nas?

— Tak — odparł Cyborg. — Ile to czasu minęło Durantowie? Jeszcze się nas boicie? Widzę to.

— Źle znamy tę okolicę — wyjaśnił Harrey.

— Zabezpieczyliśmy się — dodała jego żona.

— A więc moje nauki dały skutek — skomentował Glisson — jesteście dobrymi uczniami.

Lizabeth poruszyła palcami: „Mimo, iż ciężko ich zrozumieć, sądzę, że coś jest nie tak".

Zmrożona ciężkim wzrokiem Cyborga odwróciła wzrok. Nie mogła się zmusić, aby traktować ich jak istoty z krwi i kości.

— Nie musi pani się nas bać — powiedział Glisson — chyba, że nie jest pani Lizabeth Durant…

Harrey nie wytrzymał:

— Nie mów tym tonem do mojej żony! Nie należy do ciebie.

— Jaka jest pierwsza lekcja, której wam udzieliłem? — spytał zimno Głisson.

Harrey sapnął przeciągle.

— Umieć zachować zimną krew — rzekł ponuro. Ręka Lizabeth jeszcze drżała.

— Nie zapamiętaliście jej — stwierdził Cyborg — wróżę wam rychłą wpadkę.

Lizabeth skomentowała grą palców: „Zastanawiali się, czy nie użyć siły…"

Harrey potwierdził.

— Najpierw złożycie mi raport o operacji genetycznej — rzekł Glisson, przekazując jednocześnie ciągi poleceń lokalnym komputerom, aby SB nie miała czym się niepokoić.

„Uwaga!" — przekazał Harrey — „Coś przed nami ukrywa".

— Pełny raport — powtórzył Cyborg. — Chcę znać wszystkie detale, nawet te, które wydają się wam nieważne. Moje możliwości analizy są nieograniczone.

Zaczęli opowiadać to, co widzieli. Mówili na przemian, uzupełniając własne wypowiedzi. Harrey odczuwał to tak, jakby integrowali się z mechanizmem Cyborga. Jego pytania padały automatycznie, jedno po drugim, a ich odpowiedzi miały podobny charakter.

— Żadnych wątpliwości — zakończył Glisson. — Mamy do czynienia z embrionem uodpornionym na gaz. Wasze informacje uzupełniły obraz, bo jak wiecie korzystamy też z innych źródeł.

— Nie wiedziałam, że chirurg był jednym z naszych — powiedziała Lizabeth.

Podczas przerwy, która teraz nastąpiła, twarz Cyborga straciła wszelki wyraz. Cyborgi myślały równaniami matematycznymi, które tłumaczyły potem na dowolny język.

— Chirurg nie był jednym z nas — odparł Cyborg. — Ale dołączy się do nas wkrótce. — A co z taśmą z przebiegiem operacji — zaniepokoił się Harrey.

— Zniszczona. W tej chwili wasz embrion jest przenoszony w inne

miejsce. Zobaczycie go niedługo. — Sztywny śmiech wykrzywił wargi Cyborga.

Lizabeth wzdrygnęła się na dźwięk tych słów.

— Czy jest zdrów i cały?

— Jak najbardziej, nic nie pozostawiamy przypadkowi.

— W jaki sposób?

— Niedługo zrozumiecie. Mamy swoje pewne, wypóbowane metody. Nie bójcie się, te embriony są potężną bronią, a my nie chcemy jej stracić.

Harrey poruszył się nerwowo.

— Kiedy… — zaczął — wzywa się chirurga z Centrum, oznacza to, że jest szansa uzyskania Nadczłowieka. Czy oni… Czy nasz syn?…

Nozdrza Glissona drgnęły ze wzgardą. Taka głupota była obraźliwa dla Cyborga.

— Nie można nic powiedzieć, dopóki nie będziemy mieli wszystkich danych. Tylko chirurg je posiada, a jego jeszcze nie przesłuchaliśmy.

— Srengaard i manipulatorka… — odezwała się Lizabeth.

— Srengaard to głupek, a manipulatorka nie żyje.

— Zabili ją? — spytała kobieta.

— Warunki jej śmierci nie mają znaczenia, gdyż wykonała swoje zadanie.

„Cyborgi mają coś wspólnego z jej śmiercią” — przekazał Harrey.

„Zrozumiałam”.

— Czy będziemy mogli porozmawiać z Potterem — spytał Harrey.

— On o tym zadecyduje.

— Chcemy wiedzieć! — wybuchnęła Lizabeth.

— Proszę pani — odparł Glisson — produkcja Nadludzi nie jest naszym celem. Przypominam o treści przysięgi.

— Proszę o wybaczenie, jestem bardzo zdenerwowana.

— Uznajemy uczucia jako okoliczności łagodzące. Lepiej będzie, jeśli was uprzedzę: usłyszycie na temat waszego syna rzeczy, które nie powinny was zaskoczyć.

— Jakie rzeczy?

— Oddziaływanie obcego pochodzenia czasami powoduje duże zamieszanie podczas operacji. Teraz chyba do tego doszło.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Glisson roześmiał się:

— Zadajecie pytania, na które nie ma odpowiedzi.

— Co robi to obce oddziaływanie? — spytała Lizabeth błagalnym tonem.

— Działa jak naładowana cząsteczka. Zmienia strukturę komórki. Jeśli tak się stało, powinniście się cieszyć. Uniemożliwia to powstanie Nadczłowieka.

— Czy jeszcze nas potrzebujecie? Możemy odejść? — spytał

Harrey.

— Możecie tu zostać.

Oboje spojrzeli na Cyborga nic nie rozumiejąc.

— Zaczekacie na rozkazy.

— Ale zauważą naszą nieobecność. Nasze mieszkanie.

— Sporządziliśmy kopie zdolne zastąpić was na czas niezbędny do przeprowadzenia ucieczki. Nigdy nie będziecie mogli wrócić do Seatac.

— Naszej ucieczki? — spytał Harrey z niedowierzaniem. — Co… dlaczego?

— Przemoc wisi w powietrzu — wyjaśnił Glisson. — Nawet teraz. Wojna… krew… zabójstwa. Jak dawniej niebo zapłonie, a ziemia się stopi.

„Wojna… dawniej…" — myślał Harrey. Dla Glissona nie były to chyba dawne czasy. Opowiadano, że jedna z form Glissona brała udział w wojnie Cyborgów z Nadludźmi. Nikt z członków Ruchu Oporu nie znał wszystkich postaci, jakie ten Cyborg przyjmował. — Gdzie teraz pójdziemy? — spytał Harrey, palcami nakazując Lizabeth nie mieszać się.

— Wszystko zostało przygotowane — odparł Glisson. — Czekajcie tu, przyniesiemy wam wszystko, czego będziecie potrzebować.

Wyszedł. Drzwi zamknęły się hermetycznie z głuchym hałasem.

— Są tak samo źli jak Nadludzie — powiedziała Lizabeth.

— Przyjdzie dzień, gdy nie będziemy zależni ani od jednych, ani od drugich — rzekł Harrey.

— Nigdy nie przyjdzie. Gdybyśmy tylko znali chirurga, moglibyśmy zabrać naszego syna.

— Głupota! Jak utrzymać przy życiu embrion bez aparatury!

— Ta aparatura znajduje się we mnie. Urodziłam się z nią!

Harrey oniemiał ze zdumienia.

— Nie chcę, aby Cyborgi albo Nadludzie kontrolowali życie naszego syna — ciągnęła Lizabeth — Nie chcę, żeby ułożyli jego myśli pod hipnozą, aby robili jego sobowtóry według potrzeb, aby nim kierowali…

— Nie denerwuj się.

— Sam przecież słyszałeś. Sobowtóry… Mogą zrobić z nami wszystko.

— Liz, nie jesteś rozsądna.

— Nierozsądna! Ze skrawka mojej skóry mogą wyprodukować kopię. Moją kopię! Dokładnie identyczną. Skąd wiesz, czy jestem prawdziwą Lizabeth. Czy ja sama to wiem?

— Jesteś Liz. Nie jesteś kawałkiem mięsa. Oni nie potrafią odkurzyć pamięci.

— Oni zrobią kopie naszego syna. Już to przewidzieli, wiesz o

tym dobrze!

— Więc będziemy mieli wielu synów.

— Po co? — Elizabeth podniosła oczy. Łzy spłynęły po jej rzęsach. — Słuchałeś, co mówił Glisson: „Obca siła zmieniła wasz embrion". Co to było?

— Skąd mam wiedzieć?

— Ktoś musi…

— Znam cię. chciałabyś, aby to był Bóg.

— A któż inny?

— Obojętnie, kto czy co, przypadek, wypadek. Może ktoś odkrył sekret, którego nie chce zdradzić.

— Człowiek? Niemożliwe.

— Więc natura, która przybyła ratować ludzi.

— Mówisz, jak członek jakiejś sekty.

— Jedno jest pewne; to nie jest sprawka Cyborgów!

— Ale oni tym się nie przejmują. Glisson to maszyna pokryta mięsem. To samo zrobią z naszym synem… z naszymi synami!

— Posłańców jest dużo więcej niż Cyborgów. Dopóki będziemy zjednoczeni, zwyciężymy.

— Ale jesteśmy tacy słabi.

— Ale możemy zrobić to, czego nie mogą Steryle; przedłużyć naszą rasę.

— I co z tego? Nadludzie są za to nieśmiertelni.

Rozdział 8

Srengaard zaczekał aż się ściemni. Zanim poszedł do sali operacyjnej, sprawdził na ekranach kontrolnych w swoim biurze, czy droga jest wolna. Mimo iż był w swoim szpitalu i miał prawo po nim chodzić, miał wrażenie, że łamie jakiś zakaz. Zrozumiał cel spotkania w Centrum. Wiedział, że Nadludzie nie pochwaliliby tego, co miał zamiar robić, ale mimo wszystko musiał zajrzeć do probówki.

Po wejściu do sali Srengaard zdał sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu zrobił to po ciemku. Pomyślał o wszystkich dwudziestu jeden embrionach, które znajdowały się w tym pomieszczeniu. O ich komórkach, które uparcie dzieliły się, aby stać się, dzięki cudowi życia, jedynymi w swoim rodzaju organizmami. Póki mogły broniły się przed gazem antykoncepcyjnym, który pomagał uniknąć przeludnienia. Przynajmniej na razie… Srengaard wzruszył ramionami i mruknął do siebie: „Jestem inżynierem genetycznym. Wszystko jest w porządku". Jednak nie udało mu się przekonać samego siebie.

Ruszył na palcach w poszukiwaniu probówki Durantów. Wtem uderzył się o niską półeczkę i zaklął. Dudnienie pomp przyprawiało go o ból brzucha, a poza tym wiedział, że musi wyjść stąd, zanim pielęgniarka przyjdzie na nocny obchód. Zarys jakiegoś owada pojawił się kilka kroków od niego, cień w cieniu. Zatrzymał się i po chwili rozpoznał znajome kontury mikroskopu elektronowego.

Chirurg przeniósł swą uwagę na świetlne liczby przy probówkach: 12… 13… 15… Oto ona. Za pomocą latarki sprawdził etykietkę: „Durant".

Ten embrion z jakiegoś powodu niepokoił Nadludzi i doprowadził SB do stanu gotowości. Manipulatorka zniknęła. Gdzie? Nikt nie wiedział.

Przemieszczając się ostrożnie w ciemnościach, Srengaard włączył mikroskop, ustawił pod nim probówkę i schylił się nad okularem. Zobaczył zbitą masę komórek. Zwiększył powiększenie. Dotarł aż do struktury mitochondrii. Znalazł skrzydła alfa i zaczął przyglądać się łańcuchom polipeptydów.

Ze zmarszczonym czołem zajął się następną komórką, i jeszcze jedną. Komórki zawierały mało argininy, co było widoczne. Zastanawiał się jakim cudem embrion Durantów może być aż tak ubogi w argininę. Każdy samiec miałby też więcej protaminy spermatycznej. Jak to możliwe, że system wymiany DNA — RNA nie ma żadnych śladów Nadczłowieka. Modelowanie nie mogło spowodować takich zmian!

Nagle dojrzał cechy płci żeńskiej. Podniósł się i sprawdził jeszcze raz etykietkę: „Durant". Embrion Durantów nie mógł być płci żeńskiej.

Nie po interwencji Pottera. Ktoś podmienił embrion. W probówce był byle jaki okaz, ale bez mikroskopu nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. Kto to zrobił? Srengaard doszedł do wniosku, że Nadludzie. Tylko po co? To chyba pułapka. Ale kogo chcą złapać? Podniósł się, miał sucho w ustach, a serce wyrywało mu się z piersi. Nagle usłyszał jakiś hałas po lewej. Odwrócił się. Komputery zaczęły działać. Pozapalały się kontrolki.

Srengaard nie wytrzymał nerwowo, zaczął uciekać. Chwilę potem potknął się o coś. Jakieś ramiona i dłonie zacisnęły się na nim ze straszliwą siłą. Dojrzał jeszcze jakieś otwarte drzwi w ścianie, a potem czerwone światło eksplodowało w jego głowie.

Rozdział 9

Nowa manipulatorka ze szpitala Seatac wykręciła numer Maxa Allgooda.

— Stało się coś ważnego — zaczęła. Srengaard był w sali operacyjnej i badał embrion Durantów pod mikroskopem.

Allgood podniósł wzrok ku niebu.

— Na miłość!… To po to wyrywasz mnie ze snu?

— Ale słyszałam jakiś hałas. Powiedział mi pan…

— Daj spokój.

— Powtarzam panu, że doszło tam do jakiejś walki. Potem Srengaard zniknął, ale nie widziałam, by wychodził;

— Wyszedł innymi drzwiami.

— Nie ma innych drzwi.

— Słuchaj złotko. Pięćdziesięciu agentów pilnuje tego miejsca jak własnej kieszeni i mucha nie może się tam dostać, tak abym od razu nie dowiedział się o tym.

— A więc proszę ich spytać, gdzie jest Srengaard!

— Diab…

— Proszę!

— Dobrze już.

Za pomocą innego aparatu połączył się z jednym z agentów.

— Gdzie jest Srengaard? — zapytał.

— Wszedł do sali, zbadał embrion i wyszedł.

— Przez drzwi?

— Po prostu wyszedł.

Twarz Ałlgooda ukazała się na nowo na ekranie pielęgniarki.

— Słyszałaś?

— Tak, musiałam być na końcu korytarza, gdy wychodził.

— Na pewno się odwróciłaś.

— Może, ale słyszałam jakiś hałas w środku.

— Gdyby stało się cokolwiek niezwykłego, wiedziałbym o tym. Daj spokój, nie zajmujemy się Srengaardem. Według „nich" powinien był tak zareagować, a my mieliśmy przymknąć na to oczy. „Oni" nigdy się nie mylą.

— Jeśli pan tak mówi…

— Jestem tego pewien.

— A dlaczego właściwie ten embrion jest taki ważny?

— To nie powinno cię obchodzić. Daj mi spać. Wyłączyła się, ciągle niespokojna.

Na drugim końcu linii Allgood gapił się w pusty już ekran. „Hałas…" Co za idiotki z tych bab! Podniósł się szybko i wrócił do sypialni. Dziwka, którą sprowadził sobie na noc, odpoczywała na wpół

śpiąc. — Spieprzaj! — krzyknął.

Zupełnie rozbudzona usiadła na łóżku, szeroko otwierając oczy.

— Precz! — warknął wskazując drzwi. Dziewczyna uciekła z pokoju, łapiąc po drodze swoje rzeczy.

Dopiero kiedy został sam, zdał sobie sprawę, że przypominała mu Calapinę. To dało mu do myślenia…

Cyborgi zapewniały go, że poprawki, których dokonały oraz zamontowane w nim aparaty, pomogą mu zapanować nad uczuciami i pozwolą mu okłamywać nawet Nadludzi. Ale ta złość… Straszne. Kopnął pantofel, który zostawiła dziwka. Przeczucie mówiło mu, że coś nie było w porządku. Po czterystu latach życia w służbie Nadludzi posiadał dobrze rozwinięty instynkt. To była sprawa życia i śmierci. Czyżby Cyborgi go okłamały? Coś było nie tak. Hałas…

Klnąc półgłosem, wrócił do telefonu i skontaktował się ze swoim agentem.

— Idź zbadać salę operacyjną. Przeczesz ją dokładnie, szukaj śladów walki.

— Ale jeśli ktoś nas zobaczy…

— Mam to gdzieś.

Minęła mu ochota na spanie. Rozkazał jeszcze złapać Srengaarda i poszedł pod prysznic.

Rozdział 10

O ósmej rano w strefie przemysłowej Seatac ulice i chodniki zapełnione były przechodniami i pojazdami. Nieskończony ruch anonimowego tłumu zajętego osobistymi problemami. Zapowiadano ciepły i słoneczny dzień. Za godzinę, gdy rozpocznie się praca, ruch uliczny zmaleje.

Potter często obserwował to zjawisko, lecz nigdy dotąd nie brał w nim udziału. Ruch Oporu wybrał tę porę, bowiem w takim tłumie Potter i jego przewodnik byli niezauważalni. Zresztą któż miałby ich zauważyć? Chirurg spokojnie obserwował otaczających go ludzi.

Wysoka Sterylka, ubrana w mundur w biało-zielone paski, obowiązkowy dla pracownic przemysłu ciężkiego, potrąciła go przechodząc obok. Kremowa cera, grube rysy twarzy, typ 32022419K98 — ocenił Potter. W prawym uchu miała złoty kolczyk w formie lalki umieszczonej w pierścieniu.

Za nią truchtał mały człowieczek z głową wtuloną w ramiona, podpierający się miedzianą laską.

Przewodnik po zejściu z ruchomego chodnika skręcił w boczną ulicę. Dla chirurga ten człowiek był zagadkowy: nie mógł rozpoznać tego typu genetycznego. Ubrany w brązowy kombinezon roboczy wyglądał całkiem normal nie, lecz cerę miał wręcz chorobliwie bladą. Uwagę Pottera przykuwały też głęboko osadzone oczy przewodnika, wyglądające jak żaróweczki.

W pewnym miejscu ulica zmieniła się w kanion wciśnięty pomiędzy dwie olbrzymie wieże bez okien. Obecność kurzu, tolerowana przez jakiegoś lokalnego notabla, zbyt wielkiego miłośnika natury, wstrząsnęła Potterem.

Jakieś korpulentne indywiduum minęło go szybkim krokiem. Ręce tego człowieka powyginane w przedziwny sposób zaintrygowały chirurga. Zastanawiał się jaka praca mogła spowodować aż taką deformację. Przewodnik skręcił w pierwsza napotkaną bramę i za moment znaleźli się w ciemnym zaułku. Przechodnie zniknęli i Potter poczuł się nagle samotny. „Dlaczego poszedłem za tym człowiekiem?" — zastanowił się.

Przewodnik miał na ramieniu odznakę konduktora. Bez żadnego wstępu oznajmił, że należy do Ruchu Oporu.

— Wiem, co pan dla nas zrobił. Teraz na nas kolej. Proszę iść za mną — rzekł kiwając głową.

Potem nie zamienili ze sobą już ani jednego słowa. Potter, nie wiedzieć czemu, od początku był przekonany o szczerości swego rozmówcy.

„Dlaczego za nim poszedłem? Na pewno nie z chęci dłuższego

życia czy dla większej wiedzy”.

Cyborgi z pewnością były w to zamieszane. Podejrzewał, że przewodnik był jednym z nich. Większość Nadludzi i ich współpracowników ignorowała plotki Masy o istnieniu Cyborgów. Potter nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiał.

Dlaczego więc poszedł za przewodnikiem? Po prostu miał dość codzienności! Były trzy drogi ucieczki: alkohol, narkotyki i seks — żadna z nich go nie pociągała.

Zaułek wychodził na jakiś opuszczony plac: sterta gruzu i fontanna wyglądająca na zbudowaną z prawdziwych kamieni, solidnie już omszałych.

„Nadludzie nie znają tego miejsca” — pomyślał chirurg.

Kiedy wyszli na plac, przewodnik zwolnił i Potter zauważył, że czuć go chemikaliami.

„Dlaczego nie użył szantażu? Był pewien, że pójdę za nim? Kto może mnie aż tak dobrze znać?”

— Mam pracę dla pana — powiedział przewodnik. — Operację.

„Mam jedną słabą stronę — ciekawość. Oto dlaczego tu jestem!”

— Proszę czekać tu na mnie i nie ruszać się — nakazał Cyborg.

Po tonie głosu Potter odgadł, że coś się dzieje. Rozejrzał się dookoła. Ciemne budynki otaczały ich, a na rogu innej odchodzącej od placu uliczki znajdowały się szerokie drzwi. Nic się nie stało, słychać było tylko warkot jakiejś maszyny.

— Co się dzieje? — spytał Potter. — Na co czekamy?

— Nic. Proszę czekać.

Potter wzruszył ramionami, zamyślił się nad przebiegiem operacji na embrionie Durantów. Przypomniał sobie jej poszczególne etapy. Podejrzewał, że to Cyborgi wprowadziły argininę.

— Można to powtórzyć — mruknął do siebie.

— Cicho! — syknął przewodnik.

Chirurg wziął głęboki oddech na myśl o tym, że on był jedynym człowiekiem, który wiedział jak dokonać takiej operacji. Oczywiście, gdyby jakiś wybitny chirurg zaczął sprawdzać raport, może by coś zauważył. Ale kto by to sprawdził? Na pewno nie ten głupek Srengaard ani Nadludzie.

W tej chwili przewodnik dotknął jego ramienia.

— Obserwują nas. Proszę uważnie mnie słuchać, pańskie życie od tego zależy.

Chirurg zamrugał oczyma, zamieniając się w aparat do słuchania i wykonywania rozkazów.

— Przejdzie pan przez drzwi naprzeciwko nas. Potter odwrócił wzrok. Dwaj mężczyźni niosący paczki wyszli na ulicę tuż przed nimi i skierowali się w stronę fontanny. Przewodnik zignorował ich tak samo jak dziecięce głosy, które nagle rozległy się w okolicy.

— Kiedy pan wejdzie, proszę otworzyć pierwsze drzwi na lewo. Będzie tam kobieta, a pan powie jej: „Mam za ciasne buty”. Ona odpowie: „Każdy ma swoje zmartwienia”. Potem zajmie się panem.

— A… jeśli jej tam nie będzie? — spytał Potter, który wreszcie odzyskał głos.

— W takim razie proszę przejść przez pokój i wyjść drugimi drzwiami, następnie skręcić w lewo. Za budynkiem spotka pan mężczyznę w szarobiałym mundurze strażnika. Zacznie pan zabawę na nowo.

— A pan?

— To pana nie dotyczy. A teraz szybko. Przewodnik popchnął go do przodu.

Gdy Potter dochodził do drzwi, uliczką szła grupka dzieci z nauczycielką na czele. Przepchnął się przez nie i wtedy usłyszał krzyk.

Odwrócił się. Przewodnik znajdował się po drugiej stronie fontanny, która zasłaniała go do połowy. Lecz to, co było widać, było wystarczająco przerażające. Z jego piersi wytrysnął rozjarzony promień światła.

Kilku ludzi wynurzyło się z uliczki na lewo. Promień spalił ich żywcem. Z krzykiem i płaczem dzieci rzuciły się do ucieczki. Potter nawet na nie nie spojrzał. Zafascynowała go ta maszyna do zabijania, którą początkowo wziął za człowieka.

Cyborg podniósł ramię i skierował je ku niebu. Błękitne promienie wyleciały z jego palców. W powietrzu, nagle nasyconym ozonem, zadudniła potężna eksplozja i na ziemię posypały się szczątki grawilotu.

Odpowiedź na atak była natychmiastowa. Ubranie i skóra przewodnika spłonęły w ułamku chwili. Ukazało się pancerne ciało z tytanu i plasmeldu.

Potter wskoczył do budynku. Zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem. Budynkiem wstrząsnęła kolejna eksplozja.

Odnalazł kobietę i po wypowiedzeniu hasła poszedł dalej. Kompletnie oszołomiony chirurg znalazł się w pomieszczeniu, w którym stały rzędy biurek. Kobieta zaprowadziła go do drugiego wyjścia.

— Musimy skorzystać z pojazdu służbowego, to nasza jedyna szansa. Za chwilę zostaniemy okrążeni.

Potter zatrzymał się, zdecydowany nie zrobić już ani kroku więcej.

— Gdzie idziemy? — spytał. — Czego ode mnie chcecie?

— Więc pan nie wie? Nie odpowiedział nic.

— Wszystko wytłumaczymy. Szybciej!

— Nie ruszę się stąd, dopóki nie dowiem się, czego ode mnie chcecie.

Kobieta wyrzuciła z siebie stek przekleństw.

— Dobrze. Trzeba przeszczepić embrion Durantów do macicy jego matki. To jedyne wyjście, aby go stąd wydostać.

— Do macicy?! — wykrzyknął chirurg wzdrygając się.

— Jak dawniej. To obrzydliwe, wiem, ale nie mamy innego wyjścia. A teraz uciekajmy!

Potter dał się prowadzić.

Rozdział 11

W wielkiej czerwonej kuli członkowie Trójcy siedzieli na swoich tronach i czytali, sprawdzali oraz klasyfikowali informację po informacji. Przed każdym z nich widniał ekran, na którym ukazywały się dane pod postaciami funkcji matematycznych, analogicznych, proporcjonalnych, ciągów binarnych, krzywych itp.

Na górnych ekranach widać było, ilu Nadludzi obserwowało tego ranka pracę Centrum: ponad tysiąc!

Calapina bezmyślnie obracała pierścień mocy na lewym kciuku. Życzenia, których nie umiała sprecyzować, chodziły jej po głowie. Pracę tę uważała za okropną, swoich towarzyszy za nieznośnych. We wnętrzu sfery nie było nocy ani dnia. Czas płynął w jednostajnym rytmie.

— Na nowo przestudiowałem zapis syntezy proteinowej przygotowanej dla embriona Durantów — powiedział Nurse.

Spojrzał na Calapinę i zabębnił niecierpliwie palcami na oparciu swego fotela.

— Coś opuściliśmy, coś opuściliśmy — zanuciła Calapina spoglądając na Schruillę, który potarł dłońmi o tunikę w geście ujawniającym ogromne zdenerwowanie.

— Tak się składa, że właśnie odkryłem to, co ominęliśmy — oznajmił Nurse i odwrócił się w stronę Schruillii. Dwaj Nadludzie patrzyli przez chwilę na siebie. Nurse zauważył, że Schruilla ma maleńką plamkę na skórze koło nosa.

Ciekawe — pomyślał Nurse. — Jak to możliwe? To mógł być tylko efekt nierównowagi enzymatycznej…

— A więc, o co chodzi? — zapytał Schruilla.

— Masz plamkę koło nosa — rzekł Nurse. Tamten spojrzał na niego jak na wariata.

— Czy to ci powiedział embrion? — parsknęła Calapina.

— Co?… oczywiście, że nie!

— No więc, co odkryłeś?

— Wydaje mi się, że można powtórzyć operację Pottera, jeśli się ma embrion tego typu.

Schruilla wzruszył ramionami.

— Więc powtórzyłeś przebieg operacji? — spytała Calapina.

— W zarysie.

— Potter też mógłby to zrobić.

— Być może nawet Srengaard.

— Oby nie — mruknęła Calapina, zakręciła się na tronie i dodała:

— Gdzie jest Max?

— Pracuje — odparł Nurse — jest zajęty.

Schruilla podniósł wzrok na kamery, które go obserwowały, i rzucił okiem na rozkład nastrojów. Akcjoniści uważali tę sytuację za wyzwanie rzucone ich możliwościom. Emocyjni, strachliwi i marudzący byli prawie sparaliżowani przez poczucie winy. Cynicy interesowali się tylko nową grą.

— „Ciekawe czy powstanie nowe stronnictwo?" — pomyślał — „brutalnych, pozbawionych zahamowań przez instynkt samozachowawczy. Nurse i Calapina jeszcze tego nie zauważyli". Znowu wzruszył ramionami.

— Max nas wzywa — powiedziała Calapina wskazując na boczną linię.

Po chwili Schruilla i Nurse ujrzeli twarz Maxa.

Calapina ze zdumieniem popatrzyła na szefa SB. Wydał się jej zaniepokojony, wręcz przestraszony.

— Co z Potterem? — zapytał Nurse. Allgood milczał.

— Dlaczego on nie odpowiada? — spytał Schruilla.

— Bo nas uwielbia — wyjaśniła Calapina.

— Uwielbienie jest pochodną strachu — skomentował Schruilla. — Czy chce nam przekazać jakąś ważną informację.

— O to chodzi, Max?

Na ekranie Max popatrzył na nich po kolei. Znowu zatracili poczucie czasu i pogrążyli się w nieskończonym analizowaniu informacji, efekcie ubocznym nieśmiertelności. Drobnostki ich pochłaniały i Max miał nadzieję, że szybko się nie ockną.

— Gdzie Potter? — powtórzył Nurse. Allgood przełknął ślinę.

— Potter… na razie się nam wymknął.

— Wymknął? Jak?

— Doszło do użycia przemocy — rzekł Allgood.

— Pokaż nam to — rozkazał Schruilla.

— Nie — powiedziała Calapina. — Słowo Maxa mi wystarczy.

— Nie masz zaufania do Maxa? — spytał Nurse.

— Mam — odparł Schruilla, ale chcę zobaczyć przemoc.

— Jak możesz! — krzyknęła Calapina.

— Wyjdźcie, jeśli chcecie. Ja… chcę zobaczyć… przemoc — spojrzał na Allgooda.

Allgood przełknął jeszcze raz ślinę. Nie przewidział tego rozkazu.

— Wydarzyła się, wiem o tym, Schruillo.

— Oczywiście, zauważyłem cięcia na naszych ekranach. Przemoc. A teraz chcę złamać reguły mające na celu chronić naszą wrażliwość.

— Wrażliwość! — powtórzył z wściekłością.

Gdy podniósł wzrok na kamery, zobaczył, że większość się wyłączyła. Zdegustował nawet Cyników! Ciekawe, czy pozostali wytrwają do końca?

Gdy włączył się zapis na ekranach, Nurse odwrócił się tyłem do

nich, a Calapina ukryła twarz w dłoniach. Widać było mały plac otoczony ślepymi budynkami. Dwie maleńkie sylwetki zbliżyły się do fontanny. Powiększenie ukazało, że to Potter oraz nieznajomy o lodowatym spojrzeniu.

Znowu ujęcie z daleka: dwaj ludzie z paczkami, dzieci z nauczycielką. Nagle Potter ruszył w kierunku budynku, a jego towarzysz pobiegł na drugą stronę fontanny.

Schruilla zerknął na Calapinę i zauważył, że patrzyła pomiędzy palcami.

Jej okrzyk na nowo skierował jego uwagę na ekran. Towarzysz Pottera zmienił się w straszne stworzenie. Oślepiający strumień wydobył się z jego piersi. Ekran pociemniał, po czym powrócił pod innym kątem.

Calapina nie próbowała już ukryć swojej ciekawości. Nurse też patrzył.

Nowe ujęcia z dużej wysokości. Sylwetka dalej miota promienie. Pojazdy eksplodują i spadają z nieba. Jeden grawilot SB znalazł się za Cyborgiem. Strzał z lasera zrobił wyrwę w boku jednego z domów. Cyborg obrócił się, podniósł rękę i ułamek sekundy później niebieskie światło dotknęło pojazdu przecinając go na pół. Jedna połowa odbiła się rykoszetem od ściany budynku i zmiażdżyła Cyborga.

Żółta kula zabłysła na placyku, sekundę później rozległ się huk olbrzymiej eksplozji. Schruilla zauważył, że wszystkie kamery na górze były włączone. — Potter wszedł do budynku po prawej — powiedziała Calapina.

— To wszystko, co masz do powiedzenia? — zdziwił się Schruilla.

Nurse spojrzał na niego przeciągle.

— Czy to nie było ciekawe? — zagadnął Schruilla z drwiącym uśmiechem.

— Ciekawe — przytaknął Nurse.

— To się nazywa stanem wojny — zauważył Schruilla. — Czy znasz naszą broń?

— Te historie o przemocy i broni drażnią mnie w najwyższym stopniu. Po co to wszystko? — warknął Nurse.

— Po co trzymać broń, jeśli się jej nie używa? Co o tym myślisz, Max? — spytał Schruilla.

— Słyszałem o waszej broni. To ostatnia gwarancja waszego bezpieczeństwa.

— Oczywiście, że mamy broń! — krzyknął Nurse. — Ale po co?…

— Nurse, uspokój się — zwróciła mu uwagę Calapina. Nurse wcisnął się w swój tron.

— Omówmy rozwój sytuacji — ciągnął Schruilla. Wiemy o istnieniu Cyborgów, ale zawsze nam uciekali. Poza tym, dzięki swoim komputerom kontrolują montaż nagrań. Masa czuje do nich sympatię.

Poza tym, jak widzieliśmy, posiadają brygadę interwencyjną zdolną poświęcić jednego członka, aby uratować resztę. A my zapomnieliśmy co to jest przemoc.

— Ach! — jęknął Nurse.

— Jeśli ktoś kogoś uderzy bronią, to kto jest winien: broń, czy ten, kto ją trzyma? — spytał Schruilla.

— Mów jaśniej — syknęła Calapina. Schruilla wskazał na Allgooda na ekranie.

— To nasza broń, prowadziliśmy go tak długo, aż nauczył się sam sobą kierować. Jednak nigdy nie zapomnieliśmy, że przemoc jest w nas.

— Absurd! — wykrzyknął Nurse.

— Sam zobacz — ciągnął Schruilla, wskazując palcem zapalone kamery. Dlaczego reszta obserwowała to, co się tu działo?

Po tych słowach kilka światełek zgasło, po czym zapaliło się na nowo.

Z ekranu Allgood obserwował to wszystko coraz bardziej zafascynowany. Nadludzie mówili o przemocy! Przyzwyczajony do eufemizmów używanych przez prawie czterysta lat, szef SB poczuł, że jest to wręcz nie do zniesienia. Tak nagłe przewartościowanie miało w sobie coś nierzeczywistego. I to byli ci nieomylni, nieśmiertelni! Zastanawiał się, o czym myśleli w tej chwili.

Schruilla, zwykle cichy, rzekł groźnie do Allgooda:

— Kto jeszcze nam się wymknął?

Allgood nie umiał odpowiedzieć. Nie miał odwagi.

— Durantowie — rzekł za niego Schruilla — Srengaard też. Kto jeszcze?

— Nikt, Schruillo. Nikt.

— Trzeba ich złapać żywych!

— Żywych?

— Jeśli to będzie możliwe. Teraz możesz wrócić do pracy.

Kiedy ekran ściemniał, Schruilla zaczął manipulować przy swoim pulpicie.

— Co robisz? — spytał Nurse i od razu zganił się za nadmierną ciekawość.

— Anuluję rozkazy, które usuwały przemoc sprzed naszych oczu. Czas, abyśmy spojrzeli na prawdziwy świat.

— Skoro uważasz, że to konieczne — westchnął Nurse.

— Wiem, że to konieczne!

— Pasjonujące — szepnęła Calapina. — Co jest pasjonujące w tym obrzydliwym spektaklu? — zdziwił się Nurse.

— To uczucie radości, które odczuwam. Wykończony Nurse odwrócił się od niej i spojrzał na Schruillę: on naprawdę miał plamkę koło nosa…

Rozdział 12

Dla kogoś takiego jak Srengaard, wychowanego w uporządkowanym świecie Nadludzi, myśl, że mogli oni popełnić błąd, była herezją. Omylny znaczyło tyle co śmiertelny. Jakże więc Nadludzie mogli popełniać błędy?

Blade światło wpadało do sali przez otwory w suficie. Naprzeciwko Srengaarda siedział Tome, członek ekipy lekarskiej Centrum. Obcy znajdowali się w starym pomieszczeniu wentylacyjnym, należącym do Parku Kaskad. Srengaard siedział w wygodnym fotelu, lecz ręce i nogi miał związane. Jacyś osobnicy z paczkami w rękach chodzili tam i z powrotem, ale większość z nich nie zwracała uwagi na chirurgów.

Srengaard przyglądał się chirurgowi z Centrum. Sieć zmarszczek na jego twarzy była pierwszą oznaką nierównowagi enzymatycznej zwanej starością. Jednak błękitne oczy były nadal młode.

— Musisz się zdecydować — powiedział Tome Igan. Srengaard tępo gapił się w sufit.

— Czekam na twoją odpowiedź.

Srengaard skierował wzrok na ścianę za swoim rozmówcą; była oczywiście z plasmeldu. Ludzie dalej krążyli, jednostajność ich ubrań irytowała lekarza. Kim byli? Na pewno należeli do Ruchu Oporu, ale kim byli naprawdę? Na przegubie jakiejś kobiety dojrzał bransoletę z ludzkich włosów. Jeszcze się nad tym zastanawiał, gdy Igan znów się odezwał:

— Teraz już trwa wojna. Wierz mi, nasze życie jest na szali.

„Moje życie?" — Srengaard próbował pomyśleć o swoim życiu, zdefiniować je. Miał trzecią żonę, kobietę, której definitywnie odmówiono zgody na reprodukcję, jak jemu. Nie mógł nawet przypomnieć sobie jak ona wygląda.

„Ona nie jest częścią mego życia, lecz kto w takim razie jest?"

Czuł się zmęczony, a poza tym suszyło go po narkotykach, które zaaplikowano mu w nocy. Niejasno przypominał sobie otwór w ścianie, potem obudził się na tym fotelu.

— Nic przed tobą nie ukryłem — ciągnął Igan. Potter ledwo zdołał się uratować, manipulatorka nie żyje, inni też, a zginie jeszcze więcej osób. Wydano rozkazy, aby nas aresztować. Również ciebie. Oni nie mogą pozwolić sobie na żadne ryzyko.

„Moje życie" — ciągle zastanawiał się Srengaard. Teraz myślał o swoim mieszkaniu, swoich meblach, o swojej nudzie i o rutynie swojej pracy.

— Co się ze mną stanie?

— Przygotowaliśmy kryjówkę.

— Niemożliwe.

Po raz pierwszy w życiu Srengaard uświadomił sobie, że nienawidzi Nadludzi.

— Istnieje wiele pewnych miejsc. Oni myślą, iż wszystko wiedzą, ale mylą się. Źródłem ich mocy jest aparatura szpiegowska, a funkcjonowanie maszyn zawsze można zmienić. Poza tym Nadludzie potrzebują Masy do prowadzenia wojny.

— To absurd — rzekł Srengaard potrząsając głową.

— Niezupełnie. Oni są tym, czym my. Wiem to z doświadczenia.

— Ale dlaczego mieliby popełnić te zbrodnie, o które ich oskarżasz? To niezrozumiałe. Byli zawsze dobrzy!

— Chcą tylko jednego: przedłużyć swą władzę. Ale stąpają po śliskim gruncie. Jeśli otoczenie się nie zmieni, będą żyć… bez końca. Każda zmiana oznacza dla nich, że zostaną na nowo poddani kaprysom natury, jak my. Dlatego odrzucają naturę, chyba że mogą ją zdominować.

— Nie wierzę ci. Oni nas kochają, bronią nas, opiekują się nami. Spójrz na wszystko, co dla ciebie zrobili.

— Dostrzegam to.

Igan zaczynał się denerwować. Srengaard był bardziej uparty niż przewidywał. Nie chciał dostrzec prawdy.

— Chcecie ich zniszczyć? Dlaczego?

— Bo przeszkadzają w ewolucji.

— CO?!

— Tylko oni są wolni w naszym społeczeństwie. Jednostki nie ewoluują. Narody tak, jednostki nie. U nas narody nie istnieją.

— Ale Masa…

— Nie mówmy o tym. Który z nas może się rozmnażać? Jesteś chirurgiem, a nie zrozumiałeś systemu?

— Jakiego systemu? Co chcesz powiedzieć? — Srengaard poruszył się na fotelu, przeklinając więzy. Ramiona i nogi zupełnie mu zdrętwiały.

— Nadludzie ograniczyli się do jednej zasady: ciągły powrót do normy. Wszystkim, nad którymi mają władzę, zabronili rozmnażania się.

— Nie wierzę! — wykrzyknął Srengaard, ale równocześnie naszły go wątpliwości. Zabroniono mu tego, mimo iż według własnych badań mógł prokreować.

— Wierzysz mi?

— Ale weźmy długość życia, jaką nam dali: mogę dożyć prawie dwustu lat. — To zasługa nauki, nie Nadludzi. Precyzyjne dozowanie enzymów to wszystko. Plus życie pozbawione emocji, odpowiednie ćwiczenia, dieta. Każdy może to osiągnąć.

— Nieśmiertelność — mruknął Srengaard.

— Nie! Ale długie życie, o wiele dłuższe niż nasze. Ja na przykład mam czterysta lat, jak wielu innych, których znam.

— Ile?

— To niewiele, przyznaję, wobec ich tysięcy lat. Ale każdy mógłby żyć dłużej. Oni jednak tego nie chcą.

— Dlaczego?

— Dzięki temu mogą dać swym posłusznym sługom w nagrodę kilka lat życia. Bez tego nie mieliby czym nam płacić. Zresztą wiesz to; starałeś się im sprzedać przez całe życie. Żebyś tylko słyszał rechot Nurse, kiedy mówi o naszych nędznych czterystu latach.

— Nurse?

— Tak, tego cynika z Trójcy. On ma o wiele więcej niż czterysta lat. Według ciebie dlaczego jest cyniczny? Są Nadludzie znacznie od niego starsi, ale nie cyniczni.

— Nie rozumiem. — Srengaard nie śmiał już oponować, tak słabe wydawały mu się własne argumenty.

— Zapomniałem, że nie jesteś z Centrum. Nadludzie sami dzielą się na warstwy, według granic emocji na jakie je stać. Mamy więc Akcjonistów, Emocyjnych, Cyników, Hedonistów i Zblazowanych. Aby dotrzeć do Hedonizmu, przechodzą przez Cynizm. Obecna Trójca stąpa właśnie po tej drodze.

Igan starał się odgadnąć, jakie wrażenie wywarł na rozmówcy. Srengaard swymi poglądami nie odbiegał od Masy. Wedle jego średniowiecznych przekonań, Centrum i Nadludzie byli „primum nobile", od którego wszystko zależy. Srengaard nie różnił się od pierwszego z brzegu Nadczłowieka. Pierwszy, jak i drugi, znajdował się poza zasięgiem argumentów i był nieomylny.

— Gdzie uciekać? — spytał Srengaard. Oni kontrolują dystrybucję enzymów. Gdy tylko wejdziemy do jakiejś apteki, złapią nas.

— Mamy dostawców.

— Ale do czego jestem wam potrzebny?

— Bo jesteś jedyną w swoim rodzaju jednostką. Potter cię potrzebuje, bo znasz embrion Durantów.

„Embrion Durantów? A co on ma z tym wspólnego? Srengaard podniósł wzrok na Igana, który ciągnął dalej:

— Moje poglądy dotyczące Nadludzi szokują cię?

— Tak.

— Trzeba ich unikać jak zarazy. „Sand zabił tysiąc, Dawid dziesięć tysięcy". Nadludzie zabijają naszą przyszłość.

Jakiś potężnie zbudowany człowiek usiadł przy stole, plecami do Srengaarda.

— No i…? — spytał przybysz.

— Jeszcze nie wiem — odparł Igan.

— Nie mamy już czasu. Potter skończył.

— Rezultat?

— Udało się, matka niedługo się obudzi. Ale co z nim? — spytał wskazując łokciem na Srengaarda.

— Zabierzemy go ze sobą. Co robi Centrum?

— Kazało aresztować wszystkich chirurgów.

— Już? Co z doktorem Handem?

— Wybrał czarne drzwi.

— Zatrzymał swoje serce. Jedyne wyjście. Nie możemy dopuścić, aby kogoś przesłuchano. Ilu jest nas teraz?

— Siedmiu, ze Srengaardem ośmiu. Czy oni zaczynają wyprowadzać swój personel z Seatac?

— Oczywiście.

— Więc chcą zniszczyć miasto…

— Tylko „wysterylizować”.

— Słyszałeś kiedyś, jak Allgood mówi o Masie?

— Często… „Robactwo”. Zniszczy całe Megalopolis bez zmrużenia oka. Wszystko gotowe do wyjazdu? — Raczej tak.

— Kierowca?

— Zaprogramowany do swojej misji.

— Zrób zastrzyk Srengaardowi, żeby siedział spokojnie. Kiedy ruszymy, nie będziemy mieli czasu się nim zajmować.

Więzień zesztywniał w fotelu.

Wielki mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Srengaarda szarymi oczami pozbawionymi wyrazu. W jednej ręce trzymał strzykawkę. Chirurg poczuł ukłucie. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał.

Powoli zasnął.

Rozdział 13

Harrey siedział na ławeczce obok przytomniejącej Lizabeth i patrzył na nią. Pięć osób znajdowało się w przestrzeni niewiele większej od skrzyni towarowej. Jedna jarzeniówka zawieszona nad głową młodej kobiety dawała żółtawą poświatę. Naprzeciwko siedzieli Igan i Bonmur. Ich nogi były oparte o ciało Srengaarda. Ten ostatni leżał na podłodze, związany, zakneblowany i nieprzytomny. Harrey wyjaśnił żonie, że są w drodze już od dłuższego czasu. Lizabeth miała mdłości i chciało się jej wymiotować. Było to dziwne, ale myśl, że nosi swoje dziecko, uspokajała ją. Według Pottera, dopóki będzie w tym stanie, przeżyje bez racji enzymów. Chirurg myślał zapewne, iż embrion powróci do probówki, kiedy tylko znajdą się na miejscu. Lecz Lizabeth podjęła decyzję: sprzeciwi się temu! Chciała nosić swojego syna aż do rozwiązania, mimo iż żadna kobieta nie robiła tego od tysięcy lat.

— Nabieramy prędkości — stwierdził Igan. Musimy znajdować się na trasie lotniczej.

— Czy będą punkty kontroli? — spytał Bonmur.

— Na pewno.

„Punkty kontroli" zamyślił się Harrey. Rzecz jasna, SB zrobi wszystko, żeby ich złapać. Zastanawiał się nad tym, co się stanie z megalopolią. Chirurdzy mówili o gazie toksycznym, który był wypuszczany przez wywietrzniki i głośniki. Centrum miało wiele rodzajów broni do swojej dyspozycji.

Na ostrym zakręcie Harrey przytrzymał żonę za ramię. Nie wiedział co myśleć o decyzji Lizabeth. To było… dziwne. Nie obleśne czy niesmaczne, ale po prostu dziwne. Instynktownie starał się wyczuć niebezpieczeństwo. Lecz w tym pudle jedynymi wrogami były zapachy oliwy i potu.

— Co jest wokół nas — spytał Bonmur.

— Rupiecie, to pudło obłożono wszystkim, co nawinęło się pod rękę.

— Rupiecie! — obruszył się Harrey. Nie najprzyjemniej podróżowało się wśród gratów.

Ręka Lizabeth poszukała jego dłoni.

— Harrey?

— Tak moja droga?

— Czuję się dziwnie…

Harrey spojrzał z przerażeniem na lekarzy.

— Wszystko będzie dobrze — odparł Igan.

— Harrey — ciągnęła Lizabeth — nie wydostaniemy się stąd.

— Nie mów tak — szepnął nerwowo.

Spojrzała na niego, a później na chirurga, którego oczy błyszczały metalicznie.

Czyżby też był Cyborgiem? Jego lodowaty wzrok spowodował, że Lizabeth straciła zimną krew.

— To nie o siebie się boję, lecz o mojego syna!

— Proszę się uspokoić — doradził Igan.

— Nie mogę, nigdy tam nie dojedziemy!

— Nie wolno tak mówić. Nasz kierowca jest najlepszym z Cyborgów.

— Mimo to nie uciekniemy im — upierała się Lizabeth.

— Uspokój się lepiej!

Harrey nareszcie znalazł okazję do zamanifestowania swego instynktu opiekuńczego.

— Nie mów do niej tym tonem! — warknął.

— Ty też Durant — zareplikował Igan. — Mów ciszej! Wiesz przecież, że droga naszpikowana jest stacjami nasłuchowymi. Tylko w razie absolutnej konieczności powinniśmy się odzywać.

— Nic nam nie pomoże — jęknęła Lizabeth.

— Nasz szofer zrobi wszystko, co będzie możliwe, aby nas dowieźć.

— Możliwe — szepnęła Lizabeth i zaczęła szlochać.

— Zobacz, co żeś pan zrobił! — wrzasnął Harrey. Z ciężkim westchnieniem Igan podał jej pigułkę.

— Co to?

— Środek uspokajający.

— Nie chcę tego… Och nie!

— To dla pani dobra. Stres może spowodować odszczepienie embrionu. Jest pani świeżo po operacji.

— Ona tego nie chce — zapienił się Harrey.

— Musi to wziąć — nalegał Igan.

— Jeśli zechce.

Igan z wysiłkiem zachował spokój.

— Durant, staram się uratować wasze życie. Jeśli się pan złości…

— Oczywiście, że się złoszczę. Mam dosyć słuchania rozkazów!

— Jeśli pana uraziłem, przepraszam, ale muszę uprzedzić, że pańska reakcja spowodowana jest modelunkiem genetycznym. Ma pan nadmiar instynktu opiekuńczego. Pańska żona natomiast ma nadmiar instynktu macierzyńskiego. Wasze modelunki były wadliwe, ale jeśli się uspokoicie, wszystko pójdzie dobrze.

— Wadliwe? Kto to powiedział? Założę się, że jesteś pan zwykły Steryl…

— Durant, siedź cicho! — przerwał Bonmur grubym głosem.

Harrey spojrzał na drugiego chirurga. Był zafrapowany kontrastem pomiędzy małą głową i wielkim korpusem. Według niego,

w twarzy Bonmura nie było już nic ludzkiego.

— Nie możemy kłócić się cały czas — dodał Bonmur.

— Nie jesteśmy wybrakowani — odparł Harrey.

— Być może nie — odparł Igan — ale jedno jest pewne: w tej chwili bardzo zmniejszacie nasze szansę przeżycia. Proszę to połknąć — dodał podając Lizabeth pigułkę.

Wzięła z wahaniem. Miała ochotę rzucić tym w twarz lekarzowi, ale w końcu, gdy Harrey skinął głową, połknęła ją.

— Teraz proszę się odprężyć.

Tymczasem Srengaard zaczął odzyskiwać przytomność. Czuł jak jego ciało bezładnie turla się na zakrętach. Czuł zapach potu, słyszał szum silnika. Czuł knebel i więzy. Otworzył oczy. Najpierw nic nie widział. Po chwili mógł rozróżnić sufit, jarzeniówkę, jakąś nogę i jakąś kropkę, która nagle zaczęła migać.

— Kontrola! — szepnął Igan. — Cisza!

Ciężarówka zwolniła i stanęła. Srengaard dalej obserwował pomieszczenie. Jakiś metalowy pręt wystający spod ławki dotknął jego policzka. Srengaard poruszył głową i poczuł jak pręt zaczepia o knebel i powoli zaczyna go wysuwać.

Szybko spojrzał na innych. Lizabeth siedziała spięta, z twarzą zakrytą dłońmi. Z zewnątrz dochodziły jakieś głosy. Po chwili Lizabeth opuściła ręce. Głosy umilkły. Ciężarówka zaczęła powoli ruszać. W tej samej chwili Srengaardowi udało się pozbyć knebla.

— Ratunku! Pomocy! — wrzasnął. — Jestem uwięziony! Igan i Bonmur podskoczyli z wrażenia. Lizabeth jęknęła.

Harrey błyskawicznie uderzył Srengaarda w szczękę, po czym zatkał mu usta dłonią. Tymczasem ciężarówka jechała dalej. Wszyscy nasłuchiwali z niepokojem.

— Co się dzieje? — z głośnika rozległ się głos kierowcy. — Nie umiecie przestrzegać najbardziej elementarnych zaleceń.

Zimny, oskarżycielski ton zaciekawił Harreya, Dlaczego po prostu nie powiedział, czy ich wykryto? Jednocześnie czuł olbrzymią ochotę, by udusić Srengaarda.

— Czy usłyszeli nas? — szepnął Igan.

— Chyba nie. Wytłumaczcie mi, co się stało.

— Srengaard obudził się za wcześnie.

— Był przecież zakneblowany.

— Zdołał pozbyć się knebla, nie wiemy jak.

— Powinniście go zabić. Nie da się go pozyskać dla sprawy.

Harrey odsunął się szybko od Srengaarda. Sugestia Cyborga unicestwiła w nim żądzę mordu.

— Dobrze już… Zobaczymy co możemy zrobić — rzekł Igan.

— Czy Srengaard może nam szkodzić?

— Zajęliśmy się nim.

— Nie pan w każdym razie — zauważył Harrey — mimo iż siedział pan najbliżej.

Igan zbladł. Przypomniał sobie, że skamieniał ze strachu. Rozzłościło go to. Jakim prawem ten kretyn robi mu wymówki?!

— Żałuję, ale nie jestem brutalem — odparł chłodno.

— Powinien się pan nauczyć.

Harrey poczuł dłoń Lizabeth na swoim ramieniu i potulnie dał się posadzić na ławce.

— Jeśli masz pan jeszcze trochę tej swojej trutki, to daj mu jej pan, zanim się znów obudzi.

Igan stłumił złość.

— Jest w torbie pod naszą ławką — powiedział Bonmur — to dobry pomysł.

Igan wstrzyknął Srengaardowi porcję narkotyku.

— Uwaga! — rozległ się głos Cyborga. — Mimo że nikt nas teraz nie śledzi, nie oznacza to, że nie usłyszeli krzyków. Wprowadzam plan Gamma.

— Kto jest kierowcą? — spytał Harrey.

— Nie zauważyłem kogo programowali — odparł Bonmur i spojrzał na Harreya z uwagą. Jemu też wydało się to podejrzane.

— Co to jest plan Gamma? — spytała Lizabeth.

— Zboczymy z głównej drogi — powiedział Bonmur.

— To oznacza, że będziemy zależeć tylko i wyłącznie od umiejętności Cyborga i kilku rozsianych po terenie komórek Ruchu Oporu. Każda z nich mogłaby wpaść…

Bonmur, zwykle stoicko spokojny, poczuł ciarki przebiegające mu po grzbiecie.

— Kierowca! — zawołał Harrey.

— Cicho — warknął tamten.

— Proszę się trzymać pierwotnego planu — rozkazał Harrey — Przewiduje on środki ratunku na wypadek gdyby moja żona…

— Ochrona pańskiej żony nie jest głównym celem — odparł kierowca. — Proszę nie protestować, plan Gamma jest już w trakcie realizacji.

Harrey wziął rękę swojej żony. Ścisnęła jego palce.

— „Czekaj. Nie czytałeś w myślach lekarzy. Oni też się boją. Też są zaniepokojeni”.

— „To ty mnie niepokoisz”.

„A więc jej życie, i nasze zapewne także, nie jest głównym celem” — pomyślał Bonmur. — „W takim razie co jest decydującym czynnikiem? Od jakiego programu zależy nasz przewodnik?”

Rozdział 14

Nurse, porzucony przez swoich towarzyszy, siedział sam i poświęcał całą swoją uwagę kontrolowaniu wskaźników. Z jednego ekranu dowiedział się, że na jego półkuli trwała noc. Cień rozciągał się od Seatac, aż do megalopolii N'Sectia. Czuł, że jest to zapowiedź ważnych wydarzeń i miał nadzieję, iż Schruilla i Calapina szybko powrócą.

Nagle zapalił się duży ekran i Nurse ujrzał twarz Allgooda. Szef SB pochylił z szacunkiem głowę.

— Co się dzieje — spytał Nadczłowiek.

— Punkt kontrolny doniósł, że przejechała właśnie ciężarówka z dziwnym ładunkiem. Była wyposażona w zagłuszacz hałasów. Miał on zapobiec odkryciu pięciu osób schowanych w środku. Głosy wydobywały się stamtąd, gdy ciężarówka ruszała. Według instrukcji śledzimy pojazd. Jakie są dalsze rozkazy?

„Zaczyna się" — pomyślał Nurse. — „I to wtedy, gdy jestem sam".

Na jego ekranie ciężarówka była wielkości łebka od szpilki.

— Zidentyfikowaliśmy głosy, Nurse. Należą do…

— Srengaarda i Lizabeth Durant — dokończył Nurse.

— A gdzie ona, tam i jej mąż — dodał Max. Mędrkowanie Allgooda zdenerwowało Nadczłowieka. Tym bardziej że Max zapomniał zwrócić się do niego po imieniu. Był to drobiazg, ale denerwujący, gdyż Allgood nie zdawał sobie sprawy ze swego uchybienia.

— Czyli mamy dwie osoby nie zidentyfikowane — zauważył Nurse.

— Możemy snuć domysły…

— Dwóch naszych, którzy zdradzili — rzekł Nurse po sprawdzeniu prawdopodobieństwa na komputerze.

— Być może Potter, Nurse…

— Potter jest w mieście.

— Być może mają ze sobą przenośny inkubator z embrionem, ale nie wykryliśmy jego obecności.

— Nie moglibyście go wykryć, a tym bardziej zlokalizować.

Nurse podniósł oczy na ekrany: wszystkie zapalone. Nadludzie bez przerwy obserwowali przebieg wydarzeń.

„Wiedzą, co myślę i są tym zdegustowani. Albo widzą w tej sytuacji nową, ciekawą manifestację przemocy".

Jak było do przewidzenia, Allgood odparł:

— Nie rozumiem, Nurse.

— Nieważne.

Nurse spojrzał na twarz swego rozmówcy. Wyglądał tak młodo.

Całe Centrum było zapchane młodymi, lecz nikt nie był młody naprawdę. Nawet służący. Nadczłowiek poczuł się nagle jak Steryl z Masy, ciągle poszukujący oznak starości u innych i pełen nadziei, że sam w porównaniu z pozostałymi staje się coraz młodszy.

— Jakie są instrukcje? — nalegał Allgood.

— Krzyki Srengaarda wskazują na to, że jest więziony, ale to może być podstęp.

— Czy mamy zniszczyć pojazd, Nurse?

— Zniszczyć?… — Nurse wzruszył ramionami. Jeszcze nie. Śledźcie go dalej. Musimy wiedzieć dokąd jadą i co zrobią po drodze. Możesz się wyłączyć.

Kiedy Allgood zniknął, Nadczłowiek przez chwilę zastanawiał się nad sytuacją. Zniszczenie ciężarówki skończyłoby grę. To proste rozwiązanie nie podobało mu się. Od pewnego czasu czuł się zbyt znudzony.

Wejście do kuli otworzyło się i weszli Calapina oraz Schruilla. Milczący, bardzo spokojni, ale Nurse czuł, że w nich aż wre. W rzeczywistości powstrzymywali złość, aby nie urazić towarzysza.

— Czy już nie czas? — spytała Calapina. Nurse westchnął.

Schruillo od razu przełączył wszystkie wskaźniki na miasto. Wielkie mrowisko oświetlone mnóstwem małych błyszczących punkcików. Calapinie skojarzyły się one z klejnotami.

— Wszystko normalnie — oznajmił Nurse.

— Normalnie! — krzyknął Schruilla.

— Kto z nas? — spytała Calapina.

— Skoro pierwszy odczułem potrzebę, zrobię to — powiedział Schruilla.

Przekręcił pierścień na poręczy tronu. Prostota tego gestu przeraziła go. Ów pierścień i jego moc służyły im od miliona lat. Wystarczyło zrobić tylko ten jeden ruch i mieć wolę, by go wykonać.

Calapina w milczeniu obserwowała cały spektakl. Miała wrażenie, że wszystko to było zabawą wymyśloną dla zaspokojenia jej kaprysu. Ostatni członkowie personelu specjalnego opuścili już Megalopolis. Wszystko było gotowe do Apokalipsy.

Opalizujący gaz wtargnął do miasta. Wszystkie światła gasły po kolei. Zielona chmura wypełniała przestrzeń. Przykryła wszystko. Schruilla spoglądał na cyfry i parametry. Wszystkie zdążały ku zeru. W tych ciągach liczb i cyfr nic nie zdradzało dramatu ludzi umierających w pracy, w miejscach publicznych, na ulicach i w mieszkaniach.

Nurse płakał. „Wszyscy nie żyją”. Słowa pozbawione sensu wywołały u niego dziwne skojarzenia. Mogło się to odnosić do bakterii, albo do zielska. Przecież sterylizowano ziemię przed zasadzeniem ładnych kwiatów! „Dlaczego płaczę?” Starał się

przypomnieć sobie, kiedy ostatnio płakał. Ale było to tak dawno… dawno… płacz i łzy. Te słowa straciły swoje znaczenie. „To jest zła strona nieśmiertelności; wszystko się powtarza i traci znaczenie”.

Tymczasem Schruilla obserwował zieloną mgłę na swoich ekranach. „Po kilku remontach wyślemy tam nowych mieszkańców. Zaludnimy ten region ludźmi wyprodukowanymi w lepszy sposób”. Zastanawiał się jednak, skąd wezmą tych „lepszych” osobników. Analizy wskazywały, że zaszła tu tylko lokalna manifestacja globalnego problemu. Wszędzie rysowały się podobne symptomy.

Ich pomyłka polegała na tym, że przed każdym pokoleniem stawiali tę samą barierę: brak tradycji. Jednak mimo wszelkich represji przetrwała kultura ludowa, której najwyraźniej szym przejawem były przysłowia.

Przypomniał sobie jedno z nich: „Kiedy Bóg stworzył niezadowolonego, umieścił go poza Centrum”. Ale to Nadludzie stworzyli Masę!

Odwrócił się i zobaczył, że Calapina i Nurse płaczą.

— Dlaczego płaczecie? — spytał ich.

Nie odpowiedzieli.

Rozdział 15

Wyjechawszy z tunelu wywierconego w podstawie góry, ciężarówka wpadła na autostradę Lester. Kolejne ośrodki wypoczynkowe dla zapładniaczy, rozsiane wzdłuż tej drogi, pozostawały za nimi. Od czasu do czasu mijały ich pojazdy ze smutnymi parami w środku, które wracały do megalopolii po ustaniu ważności przepustki. Jeśli ktoś widział ciężarówkę, to zapewne brał ją za pojazd zaopatrzeniowy.

W pewnej chwili z podwozia ciężarówki wysunęły się gąsienice i opuściły na drogę. Turbiny zawyły i zaczęło strasznie trząść. W małej skrzyni pięcioro uciekinierów powpadało na siebie. Pojazd przebił się przez pas kolczastych krzewów i ruszył równolegle do poprzedniej drogi.

— Co się dzieje? — spytała płaczliwie Lizabeth.

— Opuściliśmy szosę — zgrzytnął głos kierowcy w głośniku. — Nie ma się czego obawiać.

Harrey usłyszawszy to „uspokojenie" wybuchnął szyderczym śmiechem.

Kierowca zgasił światła i jechali dalej tylko dzięki jego czujnikom podczerwieni. Szlak wił się wśród krzaków. Ciężarówka jechała tak przez dwa kilometry. Później przecięła leśną drogę patrolową i skręciła na prawo. Wjechała z wysiłkiem na wzgórze, zjechała z niego z drugiej strony, wspięła się na następne i tam stanęła.

Z kabiny wyszedł masywny Cyborg, któremu przymocowano odpowiednio potężne ramiona i nogi, aby mógł wykonać swoje zadanie. Jednym ruchem otworzył cały bok ciężarówki i zaczął ją opróżniać.

W środku przerażony Igan wrzasnął do mikrofonu:

— Gdzie jesteśmy?

— Idioto — warknął mu Harrey. — Nie wiesz dlaczego się zatrzymał?

Igan wolał zignorować obrazę. Przecież pochodziła ona od tępego prostaka.

— Słychać, że wyładowuje ten złom — powiedział schylając się nad Harreyem.

— Hej! Hej! Co się tam dzieje!

— Daj nam pan spokój i siadaj! — Harrey popchnął chirurga na ławkę.

Z pociemniałą twarzą i błyszczącymi oczyma, Igan miał zamiar rzucić się na Duranta, ale Bonmur go powstrzymał.

— Zachowaj zimną krew, przyjacielu.

Igan usiadł. Jego twarz powoli stała się normalna.

— Ciekawe jak można dać się aż tak ponieść emocjom, pomimo…

— To przejdzie — przerwał mu Bonmur. Harrey chwycił Lizabeth za rękę i przekazał jej: „Wyczułem pierś Igana pod bluzą. Jest twarda jak z plasmeldu”.

„Myślisz, że to Cyborg?”

„Jego oddech jest normalny”.

„I odczuwa emocje. Jest w nich strach”.

„Tak… ale…”

„Będziemy uważać”.

— Durant — powiedział Bonmur — powinieneś nam zaufać. Doktor Igan zrozumiał, iż nasz kierowca rozpocząłby wyładunek tylko w spokojnym miejscu.

— Czy to aby nasz kierowca? — odparł Harrey.

Cień zwątpienia przemknął przez twarz Bonmura. Harrey uśmiechnął się widząc to.

„Harrey — przekazała Lizabeth — nie myślisz chyba… Przecież to nasz kierowca, nie było słychać odgłosów walki. Nie można pokonać Cyborga bez użycia siły”.

„Ale gdzie jesteśmy?”

„W górach na pustyni. Czuję świeże powietrze”.

Nagle pudło przechyliło się i światło zgasło. Harrey objął Lizabeth. Po chwili rozległ się przeciągły trzask i ukazała się sylwetka kierowcy. W dali widać było światła megalopolii. Było zupełnie cicho.

— Na zewnątrz! — rozkazał kierowca. Księżyc oświetlił przez chwilę jego twarz.

— Glisson! — krzyknął Harrey.

— Cześć Durant.

— Ty?

— Dlaczego nie? Teraz wyjdźcie.

— Ale moja żona…

— Wiem o wszystkim. Miała czas, aby dojść do siebie po operacji. Może chodzić.

— Wszystko będzie dobrze — szepnął Igan na ucho Harreyowi. — Pomóż jej wyjść.

— Czuję się dobrze — powiedziała Lizabeth, podając ramię mężowi i wychodząc z ciężarówki.

— Gdzie jesteśmy? — spytał Igan.

— W miejscu, które zaraz opuścimy — odparł Glisson — Jaki jest stan więźnia?

— Dochodzi do siebie — odpowiedział Bonmur — pomóżcie mi go stąd wyciągnąć. — Dlaczego się zatrzymaliśmy? — spytał Harrey.

— Z powodu ostrego zbocza — wyjaśnił Glisson. Ciężarówka dalej nie pojedzie.

Bonmur i Igan wynieśli Srengaarda.

— Trzeba zdecydować, co z nim zrobić — powiedział Cyborg.

Słysząc, że mówi się o nim, więzień otworzył oczy. Bolała go szczęka po ciosie Harreya. Krew pulsowała mu w skroniach. Ręce zdrętwiały. Był głodny i spragniony. Kurz dostał mu się do nosa, więc kichnął.

— Może należy się go pozbyć — zaproponował Igan.

— Nie sądzę — odparł Bonmur. — Będziemy potrzebować doświadczonych ludzi.

Srengaard spojrzał na nich w chwili, gdy Glisson zapytał:

— Zabijamy go, czy zatrzymujemy?

Harrey poczuł jak Lizabeth chwyta go za ramię.

— Niech żyje na razie — zdecydował Bonmur.

— Jeśli nie sprawi nam nowych kłopotów — dodał Igan. — Zawsze będzie można wykorzystać niektóre jego części albo zrobić nowego Srengaarda. Nie musimy się śpieszyć.

Srengaard siedział cicho. Głos Cyborga zmroził go. „Twardy człowiek. Zabójca” — myślał.

— A teraz czas na nas! — rozkazał Cyborg. — Musimy… — przerwał i spojrzał na megalopolię.

Stało się nad nią coś, co można by porównać z jednoczesnym wybuchem miliona sztucznych ogni.

— Co się dzieje — spytała Lizabeth.

— Cicho — rozkazał Glisson. — Patrzcie!

— Ale o co chodzi? — krzyknęła kobieta z płaczem.

— Śmierć megalopolii — powiedział Bonmur. Dotarł do nich jakiś niewyraźny, stłumiony pomruk.

— To straszne — szepnęła Lizabeth.

— Potwory! — warknął Harrey.

— Tutaj cierpimy — powiedział Igan — a tam umierają…

Dziesięć kilometrów od miejsca, w którym znajdowali się uciekinierzy, zielona mgła całkowicie przesyciła powietrze.

— Czy przewidzieliście, że użyją gazu? — spytał Bonmur.

— Wiedzieliśmy co zrobią — odparł Glisson.

— Wierzę. Sterylizują region.

— Co to znaczy? — spytał Harrey.

— Mgła pochodzi z wentylatorów, którymi puszczają zwykle gaz antykoncepcyjny — wyjaśnił chirurg. — Jedna molekuła na milion i koniec.

Igan spojrzał Srengaardowi prosto w oczy.

— Oni nas kochają, chronią nas, opiekują się nami — wyrecytował z całą powagą.

— Co się dzieje? — spytał Srengaard.

— Nie słyszysz? Nie widzisz? Nadludzie, których tak kochasz, sterylizują Seatac. Miałeś przyjaciół w mieście?

— Przyjaciół? — Srengaard odwrócił się w stronę mgły. Wszystkie światła gasły falami.

Delikatny pomruk rozpłynął się w ciszy.

— Co teraz o nich myślisz? — nalegał Igan. Srengaard potrząsnął głową, bo nie miał już siły mówić.

To mogła być tylko halucynacja, zwodziły go zmysły.

— Dlaczego nie odpowiadasz?

— Zostaw go pan w spokoju — zirytował się Harrey. — My też cierpimy. Nie masz pan serca, czy jak?

— Jego oczy są otwarte, ale nie chce wierzyć w to, co widzi.

— Jak mogli tak postąpić? — powtarzała w kółko Lizabeth.

— Instynkt samozachowawczy — warknął Bonmur. — Cecha, której nasz przyjaciel Srengaard wydaje się być całkowicie pozbawiony. Z pewnością błąd w jego modelowaniu.

Srengaard nie mógł oderwać oczu od chmury. Nagle poczuł jak bardzo jest ułomny. Myślał o personelu szpitalnym, embrionach, o swojej żonie.

Wszyscy przestali istnieć. Czuł się pusty w środku, niezdolny do żadnych uczuć. Ciągle powtarzał tylko jedno pytanie: „Jaki był ich cel?"

— Ruszamy — rozkazał Glisson. — Do kabiny z nim.

Brutalne ręce podniosły go. Rozpoznał Glissona i Bonmura. Ich brak emocji nadal go zaskakiwał. Nigdy nie widział istot tak zupełnie pozbawionych ludzkich uczuć.

Pojazd pozbawiony zbędnego balastu ruszył żwawo. Srengaard leżał na podłodze i rzucało nim po wybojach. Lizabeth siedząca nad nim w pewnym momencie syknęła z bólu. Poczuł dla niej litość. Było to jego pierwsze uczucie od chwili unicestwienia megalopolii.

W ciemności Lizabeth wzięła rękę swego męża. Od czasu do czasu księżyc oświetlał głowę Glissona siedzącego w szoferce. Siła emanująca z jego ruchów coraz bardziej ją niepokoiła. Poza tym nie wiedzieć czemu zaswędział ją brzuch. Chciała się podrapać, ale wolała nie zwracać na siebie uwagi. Służba Posłańców powstała powoli, niezależnie od Cyborgów i Nadludzi, a istniała głównie dzięki dyskrecji swoich członków. Teraz, przerażona, postępowała według rad danych jej podczas treningu.

Harrey przekazał: „Igan i Bonmur — czytam w ich myślach. To nowe Cyborgi. Mają wmontowane komputery. Właśnie uczą się okazywać normalne reakcje i kontrolować emocje. Odkrywają naturę ludzką".

„Masz rację".

„To zupełne zerwanie z Centrum. Nie będą mogli tam wrócić".

„To wyjaśnia zagładę Seatac". — Zaczęła się trząść.

„Nie możemy im ufać" — Harrey przytulił ją.

Ciężarówka przedzierała się przez wzgórza i prerie. Czasami jechali po ścieżkach, czasem po wyschniętym korycie rzeki. Trochę przed świtem wjechali do lasu z sosen i cedrów. Glisson zatrzymał się wreszcie przed starą budowlą pokrytą mchem. Okiennice zasłaniały okna, ale porastający je bluszcz dowodził, że już dawno ich nie otwierano.

Kiedy zamilkły turbiny pojazdu, jego pasażerowie usłyszeli warkot jakiejś maszyny. Odgłos pochodził spomiędzy drzew.

Otworzyły się ukryte drzwi w ścianie budowli i ukazał się stary człowiek. Miał wielką głowę, silną szczękę i obwisłe ramiona. Jego twarz przepełniona była służalczością.

— To znak — wyjaśnił Glisson. — Na razie wszystko jest w porządku.

Wyszedł z kabiny, zbliżył się do starca i zakasłał.

— Ostatnio jest tu wielu chorych — powiedział człowiek. Miał głos tak samo przymilny jak twarz.

— Nie jesteś jedynym, który ma problemy — odparł Glisson.

Starzec wyprostował się i służalczość błyskawicznie zniknęła z jego twarzy.

— Szukacie kryjówki. Nie wiem, czy jest tu bezpiecznie. Nie wiem nawet, czy powinienem was ukryć.

— To ja wydaję rozkazy! Ty masz wykonywać. Człowiek spojrzał na Glissona i wykrzywił się z niechęcią.

— Cholerne Cyborgi.

— Zamknij się — rzekł Glisson neutralnym tonem. — Potrzebujemy żywności i kryjówki. Na jeden dzień. I twojej pomocy, aby ukryć ciężarówkę, znasz okolicę. Musimy też znaleźć inny środek transportu. — Najlepiej ją pociąć i zakopać — rzeki stary.

— Dobrze. Chodźcie i zabierzcie Srengaarda — powiedział odwracając się ku ciężarówce.

Posłuchali go. Igan i Bonmur nieśli jeńca, który choć nie miał związanych nóg, nie był w stanie utrzymać się na nich. Lizabeth szła zgięta do przodu. Mimowolnie starała się chronić brzuch.

— Spędzimy tu dzień. Ten człowiek pokaże wam, gdzie macie się rozlokować.

— Czy są informacje z Seatac — spytał Igan. Cyborg spojrzał na starca.

— Odpowiadaj.

— Był łącznik dwie godziny temu. Wydaje się, że nikt nie przeżył.

— Żadnej wiadomości o niejakim doktorze Potterze? — spytał Srengaard chrapliwie.

Glisson odwrócił się, aby spojrzeć na jeńca.

— Nie wiem. Jaką drogę obrał? — zapytał stary.

— Potter? Nie wiem. Chyba znajdował się w grupie, która

uciekała kanałami — odpowiedział Igan.

— Nikt stamtąd nie wyszedł. Pierwszą czynnością „Nad" było zamknięcie wszelkich instalacji komunalnych i wypełnienie ich gazem. Trzy godziny temu wentylacja wznowiła pracę.

— Dlaczego interesujesz się Potterem? — spytał Glisson Srengaarda.

Cisza.

— Odpowiadaj! — rozkazał Cyborg.

Chirurg bezskutecznie starał się przełknąć nieistniejącą ślinę. Słowa Glissona rozwścieczyły go. Bez ostrzeżenia skoczył, pociągając za sobą Igana i Bonmura i kopnął Cyborga. Tamten uchylił się, złapał Srengaarda za nogę i rzucił nim o ziemię. Zanim Srengaard zdążył się poruszyć, Glisson już siedział na nim. Chirurg wybuchnął płaczem.

— Dlaczego interesujesz się Potterem? — powtórzył Cyborg.

— Idź precz! — jęknął jeniec. Glisson spojrzał na Igana i Bonmura.

— Rozumiecie to?

— Emocje — powiedział Igan wzruszając ramionami.

— Szok — dodał Bonmur.

„Rzeczywiście był zszokowany" — przekazał Harrey żonie. — „Jego reakcja dowodzi, iż wraca do siebie. I to mają być lekarze! Czyż nie umieją czytać w myślach?"

„Glisson umie" — odparła Lizabeth. „Chciał ich zbeształ!"

W tej chwili Cyborg spojrzał na Harreya. Ten odczytał w oczach Glissona wszystko tak dobrze, że aż się przeraził.

„Uwaga, on nie ma do nas zaufania" — przekazał żonie.

— Zabierzcie Srengaarda do środka! — rozkazał Cyborg.

Nieszczęsny chirurg spojrzał na niego. Durantowie nazwali go Glisson. Stary Cyborg. Czy to możliwe? Czy półludzie jeszcze raz wystąpili przeciwko Nadludziom? Czy ich powstanie było powodem zniszczenia Seatac?

Bonmur i Igan przerwali tok jego myśli, podnosząc go.

— Żadnych głupstw — powiedział Bonmur sprawdzając więzy.

„Czy oni też są Cyborgami? A Durantowie?" Srengaard miał jeszcze wilgotne oczy. „Dlaczego śmierć Pottera wstrząsnęła mną bardziej niż zniszczenie megalopolii, mojej żony, znajomych?" — zastanawiał się pełen poczucia winy. — „Kim był dla mnie Potter?"

Na wpół wniesiony przez chirurgów, Srengaard znalazł się w budynku. Wąskim korytarzem doszli do słabo oświetlonych pomieszczeń. Tu Bonmur i Igan rzucili go na stare łóżko. Trochę światła, które wpadało przez dwa otwory umieszczone na wysokości kilku metrów, ukazywało archaiczne meble i kilka nieznanych kształtów przykrytych błyszczącym i gładkim materiałem. Po lewej znajdował się stół — drewniany! Za nim kanapa, biurko bez szuflad i

krzesła. Brudny kominek zajmował połowę przeciwległej ściany. W pomieszczeniu czuć było wilgoć, zgniliznę. Podłoga skrzypiała pod krokami. Drewniana podłoga!

Srengaard znowu zaczął myśleć o wszystkich, którzy zginęli, i zapłakał.

„Czy jestem chory” — zastanawiał się. Usłyszał jak zapalono silnik ciężarówki na podwórzu, później odgłos zaczai słabnąć, aż zanikł. W tym momencie Harrey i Lizabeth stanęli w progu.

Młoda kobieta rozejrzała się po pokoju, po czym podeszła do jeńca i położyła mu rękę na ramieniu. Kiedy zobaczyła łzy w jego oczach, pomyślała, że chciałaby mieć tego tak ludzkiego człowieka za doktora. Może da się to zrobić. Postanowiła spytać o to męża.

— Zaufaj nam — powiedziała do Srengaarda. — To oni, a nie my, zabili twoją żonę i przyjaciół.

Srengaard odwrócił się.

„Jak ona śmie okazywać mi współczucie!” Ale Lizabeth dotknęła czułej struny. W głębi duszy chirurg był zupełnie roztrzęsiony.

Harrey usadowił żonę przy stole.

— Drewno — zauważyła. Jej głos był przepełniony zachwytem.

— Harrey, jestem głodna.

— Zaraz przyniosę coś do jedzenia.

Lizabeth chwyciła go za rękę. Srengaard obserwował zafascynowany szybkie ruchy jej palców.

Glisson i starzec weszli w tej chwili, trzaskając drzwiami.

— Do następnego etapu użyjemy pojazdu patrolowe go — oznajmił Cyborg. — To bezpieczniejsze. Muszę wam coś powiedzieć. Na skrzyni, którą wczoraj porzuciliśmy, był nadajnik szpiegowski.

— Nadajnik?

— Tak. Przekazywał im wiadomości o naszym położeniu — wyjaśnił Glisson.

— Ach! — Lizabeth przykryła sobie usta dłonią.

— Nie wiem, czy śledzili nas z bliska, bo do tej misji musiałem zmodyfikować swoją strukturę i usunąłem część podzespołów. Możliwe, że znają już naszą kryjówkę.

— Ale… dlaczego? — zaczął Harrey.

— …nie zatrzymali nas? — dokończył Glisson. — To proste. Mają nadzieję, że zaprowadzimy ich do Centrum naszej organizacji. Będą mieli niespodziankę.

Rozdział 16

W sali kontrolnej tylko Calapina i Schruilla byli na swoich miejscach. Platforma obracała się powoli, aby mogli spokojnie obserwować wszystkie wskaźniki.

Calapina czuła się zmęczona i litowała się nad sobą. Dystrybucja enzymów nie działała prawidłowo. Była tego tak pewna, że zastanawiała się, czy Ruch Oporu nie uszkodził przypadkiem komputerów aptecznych. Schruilla nie mógł jej w niczym pomóc.

Twarz Allgooda ukazała się na ekranie przed nią. Zatrzymała platformę, Max ukłonił się i przemówił:

— Składam swój raport, Calapino.

Po jego podkrążonych oczach i sztywnych ruchach poznała, iż nie padł ze zmęczenia tylko dzięki środkom pobudzającym.

— Znalazłeś ich? — spytała.

— Kryją się gdzieś na pustyni, Calapino. W każdym razie powinni tam być.

— Powinni! — roześmiała się. — Jesteś cholernym optymistą Max.

— Znamy niektóre z ich kryjówek, Calapino.

— Na jedną którą znacie, przypada dziewięć, o których nie wiecie.

— Cały region jest przeczesywany. Znajdziemy ich, Calapino.

— Coś mąci — powiedziała pod adresem Schruillii. Schruilla odpowiedział jej smutnym uśmiechem i spytał

Allgooda:

— Max, czy wiesz już kto podmienił embrion?

— Jeszcze nie, Schruillo.

Allgood był całkowicie przytłoczony przedsiębiorczością „swoich” Nadludzi.

— Czy szukałeś w Seatac? Allgood przełknął ślinę.

— No powiedz — mrugnęła do niego Calapina. „Ach, on się boi”.

— Tam też szukaliśmy Calapino, ale…

— Myślisz, że za bardzo się pośpieszyliśmy? Przytaknął.

— Dziwnie się zachowujesz — zauważył Schruilla. — Boisz się nas?

— Tak Schruillo — po chwili wahania odpowiedział Max.

— Tak Schruillo — przedrzeźniała go Calapina. Wściekłość Maxa przytłumiła jego strach.

— Robię, co mogę, Calapino.

Jego maniery wydały się jej nagle podejrzane przez swą nienaganność. Zmrużyła oczy. „Czy to możliwe?” Spojrzała na Schruillę, aby dowiedzieć się czy i on doszedł do podobnych

wniosków.

— Max, dlaczego nas wywołałeś? — spytał Schruilla.

— Aby złożyć wam raport, Schruillo.

Z lekkim wahaniem Calapina włączyła aparaturę specjalną, aby sprawdzić Allgooda. To, co zobaczyła, wywołało u niej furię połączoną ze zgrozą. Cyborg! Przerobili Maxa! Jej Maxa.

— Masz tylko wykonywać rozkazy — ciągnął Schruilla. Allgood słuchał pokornie. — Ty! — syknęła wściekle Calapina schylając się nad ekranem. — Jak śmiałeś! Dlaczego Max? Dlaczego?

— Co się dzieje? — spytał zaskoczony Schruilla.

W tej chwili Allgood zdał sobie sprawę z faktu, że został odkryty. Wiedział, że to koniec. Widział to w oczach Nadkobiety.

— Zobaczyłem… znalazłem… swoje kopie — wybełkotał. Szybkim ruchem Calapina dotknęła pierścienia. Max upadł.

— Dlaczego to zrobiłaś? — spytał Schruilla.

— To był Cyborg — zgrzytnęła zębami Calapina wskazując na aparaturę. — Max, nasz Max!

Schruilla rzucił okiem na instrumenty i ponuro pokiwał głową.

— Mój Max.

— Ale on ciebie kochał.

— Teraz to skończone.

Chwilę po wyłączeniu ekranu zdążyła zapomnieć o całym wydarzeniu.

— Czy lubisz akcje bezpośrednie? — spytał Schruilla.

— Czemu nie. Przemoc daje pewien rodzaj… rozkoszy.

— Nie mamy już Maxa.

— Niebawem wprowadzimy do służby inny egzemplarz. Na razie SB może działać bez niego.

— Ale kto uruchomi kopię? Igan i Bonmur odeszli. Aptekarz Hand też nas opuścił…

— Ale co się dzieje z Nurse?

— Ma drobne kłopoty z enzymami — powiedział Schruilla z nutą radości w głosie.

„Nurse — on umiałby włączyć kopię". Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego potrzebowali kopii. „Ach, prawda, Max ich przecież opuścił".

— Nie wystarczy uruchomić kopię — zauważył Schruilla. — Po pierwsze, nie są już one tak dobre jak dawniej. Poza tym nowy Max musi poznać swoją rolę. Nauka może trwać całe tygodnie.

— Więc jedno z nas musi zająć się SB.

— Myślisz, że podołamy temu zadaniu?

— Oczywiście. Nudziłam się przez setki lat, a teraz czuję się żywa, pełna sił i podekscytowana. Podniosła wzrok na kamery: wszyscy Nadludzie ich obserwowali. Nie jestem jedyną, która tak

myśli.

— Żywotność — mruknął Schruilla. — Ale Max… nie żyje.

Calapina przypomniała sobie pewien epizod.

— Nie był niezastąpiony. Jesteś dziś bardzo brutalny, mój Schruillo. O ile się nie mylę, powtórzyłeś dwa razy słowo „śmierć".

— Ja brutalny? A kto zlikwidował Maxa? Calapina wybuchnęła śmiechem.

— Moje własne reakcje mnie podniecają.

— Czyżbyś dokonała modyfikacji w swoich potrzebach enzymatycznych?

— Kilku. Takie jest życie. Trzeba się przystosowywać do zmian.

— To prawda.

— Gdzie znaleźli embrion, którym podmienili ten Durantów? — zmieniła nagle temat?

— Może nowy Max nam to wyjaśni.

— Koniecznie.

— Jeśli nie, wymienisz go.

— Schruillo, przestań się ze mnie naśmiewać.

— Gdzieżbym śmiał… Spojrzała mu prosto w oczy.

— Czyżby sami go wyprodukowali? — spytał Schruilla.

— Bogowie! Jakim cudem?

— Można oczyścić powietrze z gazu antykoncepcyjnego, filtrując je. A potem tradycyjnie…

— Jesteś obrzydliwy!

— Ja? A nie zastanawiałaś się, co Potter ukrył?

— Potter? Wiemy to mniej więcej. — Ktoś taki jak on poświęca się całkowicie ochronie życia… Cóż więc zachował dla siebie?

— Nie ma już Pottera.

— Ale co ukrył?

— Więc myślisz, że odkrył źródło lub pochodzenie… zewnętrznej interwencji?

— To możliwe. W każdym bądź razie, on by wiedział skąd wzięli embrion.

— W takim razie wszystko jest jasne.

— Zmieniłem zdanie.

— Czy to możliwe? — spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Że zmieniłem zdanie?

— Ależ nie, nie zrozumiałeś mnie. To niemożliwe… to o czym… o czym myślisz.

— Ależ tak.

— Nie.

— Cal, ale z ciebie za uparciuch! Kobieta nie powinna nigdy negować takiej możliwości.

— Fe! Jesteś naprawdę obrzydliwy.

— Wiemy, że Potter znalazł nowy embrion — nalegał Schruilla. — Mogą więc otrzymać także inne embriony. Historia daje nam przykłady tak bestialskich związków. Wszystkie zwierzęta…

— Jesteś niemożliwy!

— Tak więc możesz myśleć o śmierci, ale nie o tym? Nie o rozmnażaniu? Ciekawe!

— Co za okropność! — krzyknęła.

— Ale możliwa.

— Embrion, który dali w zamian, był nielegalny!

— Właśnie dlatego go poświęcili.

— Ale jak mogli odtworzyć warunki probówki? Gdzie znaleźli substraty chemiczne, enzymy…

— Tam, gdzie zawsze były.

— Co?!

— Poprzedni embrion umieścili w brzuchu matki. Bez wątpienia. Czyż nie jest logiczne pozostawić go tam, gdzie był na początku?

Calapina nie była w stanie nic powiedzieć. Czuła gorzki smak w ustach i chciało się jej wymiotować. „Mój poziom enzymów jest niewyrównany” — pomyślała.

— Idę do aptekarza, Schruillo — powiedziała powoli. — Nie czuję się dobrze.

— Proszę bardzo.

Calapina pośpiesznie opuściła kulę. Przed wyjściem raz jeszcze spojrzała na platformę. Jakieś wspomnienia przyszły jej do głowy.

„Którego Maxa dziś wymazałam? Tylu ich było. To tylko standardowy model szefa SB”. Pomyślała o innych, długiej serii Maxów, których eliminowano, gdy przestawali się podobać.

„Można sobie wyobrazić wymazanie kogoś takiego jak on. Ja jestem ciągłością, a kopie nie mają pamięci. Kopie nie znają ciągłości. Chyba że komórki posiadają pamięć”.

Pamięć… komórki… embriony… Pomyślała o tym, który spoczywał w brzuchu Lizabeth Durant. Odrażające, ale proste. Gwałtownie nabrała powietrza. Dysząc przebiegła przez salę obrad i skierowała się do najbliższej oficyny z enzymami.

Biegnąc zacisnęła w pięść dłoń, która unicestwiła Maxa.

Rozdział 17

— Ona jest chora, słyszysz?!

Harrey potrząsnął Iganem, by go obudzić. Uciekinierzy znajdowali się w pomieszczeniu o ścianach z ubitej ziemi. Dach był z plasmeldu. Żarówka wisząca pod sufitem na kablu oświetlała pięć łóżek polowych.

Na dwu z nich leżeli Bonmur i Igan. Srengaard, ciągle związany, zajmował trzecie. Dwa pozostałe były wolne.

— Proszę szybko przyjść — nalegał Harrey. — Ona źle się czuje.

Igan obudził się i spojrzał na zegarek. Na zewnątrz powinno zmierzchać. Znaleźli się tu przed wschodem słońca, po całonocnym marszu leśnymi ścieżkami za przewodnikiem. Chirurg, nie przyzwyczajony do takiego wysiłku, był straszliwie zmęczony.

„Lizabeth chora?"

Trzy dni temu umieszczono w niej embrion. Instynktownie czuł, że kobietom w tym stanie nie powinno się kazać chodzić po kamienistych drogach przez całą noc. — Proszę się pośpieszyć — błagał Harrey.

— Już idę — odparł Igan.

„Teraz, kiedy mnie potrzebuje, stał się bardziej uprzejmy".

— Czy ja też mam wstać? — spytał Bonmur.

— Nie, czekaj na Glissona.

— Powiedział dokąd idzie?

— Szukać innego przewodnika. Niedługo będzie noc.

— On nigdy nie śpi?

— Proszę! — nalegał Harrey.

— Tak — powiedział Igan oschłym tonem. — Jakie są symptomy?

— Wymioty!

— Wezmę torbę.

Sięgając po czarną teczkę, Igan spojrzał na Srengaarda. Równy oddech więźnia oznaczał, że środki nasenne, które mu dano, jeszcze działały. Trzeba będzie wreszcie zadecydować, co z nim zrobić. Opóźniał im ucieczkę.

Harrey pociągnął go za rękaw.

— Idę już. Igan przeszedł za Harreyem do sąsiedniego pomieszczenia, identycznego z poprzednim. Tam, na łóżku, jęczała Lizabeth. Mąż uklęknął przy niej.

— Jestem tutaj.

Igan wyjął z torby stetoskop i zaczął osłuchiwać młodą kobietę.

— Gdzie panią boli?

— Och!

— Proszę pana — powiedział Harrey — niech pan coś zrobi.

— Idź stąd.

Harrey cofnął się dwa kroki.

— Co jej jest?

Igan bez słowa przyłożył czujnik poziomu enzymów do lewego nadgarstka Lizabeth.

— Dlaczego ona cierpi! — ponaglał go Harrey.

— Nic jej nie jest.

— Ale…

— Wszystko w porządku. To tylko modyfikacja jej konsumpcji enzymów.

— Czy nie można… — Proszę się uspokoić. — Chirurg wstał. — Ona nie potrzebuje lekarstwa. Organizm poradzi sobie sam. Jest zdrowsza od ciebie, wierz mi.

— Dlaczego więc…

— To embrion. On się rozwija.

— Ale ona cierpi!

— Lekkie dolegliwości. — Igan podniósł torbę. — To wszystko jest częścią procesu starego jak życie. Embrion rozkazuje: produkuj to, produkuj tamto. I jej organizm wykonuje to. Oczywiście produkcja ją męczy.

— Nie może pan jej pomóc?

— Tak, niedługo będzie umierać z głodu. Wtedy damy jej jeść. Pod warunkiem, że jest tu coś do jedzenia.

Lizabeth jęknęła.

— Harrey…

— Tak moja droga. Harrey znowu uklęknął przy niej i wziął ją za rękę.

— Źle się czuję.

— Damy ci coś.

— Och!

Harrey z wyrzutem spojrzał na chirurga.

— Nie obawiaj się — odparł tamten — powtarzam: wszystko w porządku.

Wrócił do pierwszego pomieszczenia.

— Co się dzieje? — spytała Lizabeth.

— To embrion, nie słyszałaś?

— Tak. Boli mnie głowa.

Igan wrócił z pigułką i schylił się nad kobietą.

— Proszę to wziąć. Powinno złagodzić mdłości. Harrey przytrzymał ją, gdy łykała pigułkę. Wzięła głęboki oddech.

— Przykro mi, że jestem taka…

— To nic — Igan odwrócił się do Harreya: — Lepiej przewieźć ją do tamtego pomieszczenia. Glisson niedługo wróci z przewodnikiem i żywnością.

Harrey pomógł żonie wstać i odprowadził ją do sąsiedniego pokoju. Srengaard, ze związanymi rękami, patrzył jak wchodzili.

— Słuchałeś? — spytał Igan.

— Tak — Srengaard obserwował Lizabeth.

— Czy myślałeś o Seatac?

— Tak.

— Nie chce go pan uwolnić, mam nadzieję? — spytał Harrey.

— Opóźnia podróż — wyjaśnił Igan — ale nie można go uwolnić.

— Może ja się nim zajmę — zaproponował Harrey.

— Durant, o czym ty myślisz? — spytał Bonmur.

— On stanowi dla nas niebezpieczeństwo.

— Więc powierzam go tobie.

— Harrey! — krzyknęła Lizabeth. Czy jej mąż zwariował? Czy to dlatego, że poprosiła, aby Srengaard został jej lekarzem?

W rzeczy samej, Harrey nie zapomniał słów swojej żony.

— Jeśli mam wybierać między swoim synem a nim, to sprawa jest jasna.

Lizabeth wzięła go za rękę: „Nie myślisz tego, co mówisz".

— Właściwie kto to jest? — ciągnął Harrey głosem pełnym pogardy. — Żył tylko dla „nich". Jego istnienie nie jest usprawiedliwione. To Steryl. Nie ma żadnej przyszłości.

— Co zadecydowałeś? — zainteresował się Bonmur. Srengaard spojrzał na Harreya.

— Ma pan zamiar mnie zabić? — jego spokój ducha zaskoczył Duranta.

— Nie protestuje pan?

Srengaard starał się przełknąć ślinę, ale miał gardło jakby zatkane watą. Obejrzał swego przeciwnika, jego wielką postać, węzły mięśni. Przypomniał sobie o przesadnie rozwiniętym instynkcie opiekuńczym Harreya, „pomyłce genetycznej", która przy każdym zagrożeniu zmieniała go w niewolnika Lizabeth.

— Dlaczego miałbym to robić? Przecież podjęto już decyzję.

— Jak się do tego zabierzesz? — spytał Bonmur.

— Co pan radzi?

— Uduszenie wydaje się być dobrym rozwiązaniem. Harrey zastanawiał się, czy Srengaard zauważył zimny, kliniczny ton wypowiedzi chirurga.

— Złamanie karku jest szybsze — zaproponował Igan.

— Chyba, że wolisz zastrzyk? Mam wiele lekarstw w swojej torbie.

Słysząc te słowa, Lizabeth zaczęła się trząść. Harrey poklepał ją po ramieniu i odsunął od siebie.

— Harrey? — spytała.

Jej mąż potrząsnął głową i podszedł do Srengaarda. Zaciekawiony

Igan stanął obok Bonmura. Harrey uklęknął za chirurgiem, zaplótł palce wokół jego szyi i schylił się nad jego uchem.

— Dla nich twoje życie jest bez znaczenia — szepnął. — Gwiżdżą na nie. Co o tym myślisz?

Srengaard poczuł palce na swojej szyi. Mógłby próbować związanymi rękami rozluźnić śmiertelny uścisk, ale nie udałoby mu się to. Ocenił już siłę fizyczną Harreya.

— Co wybierasz? — szepnął Harrey.

— Zaczynaj, mój drogi — zachęcił go Bonmur. Kilka sekund wcześniej Srengaard był całkowicie zrezygnowany. Ale teraz, ze wszystkich sił chciał odepchnąć śmierć.

— Chcę żyć — wyjąkał.

— Naprawdę to wybrałeś?

— Tak!

— Po co mówisz do tego człowieka? — spytał Bonmur.

— Dlaczego chcesz żyć? — spytał Harrey, lekko zmniejszając uścisk. Każdy dureń potrafiłby zinterpretować ten ruch.

— Bo żyłem do tej pory. Chcę spróbować i teraz.

— Czym chcesz usprawiedliwić swoje prawo do życia? — Harrey zacisnął palce.

Srengaard nareszcie zrozumiał bieg myśl swego kata. Spojrzał na Lizabeth, później na Igana i Bonmura.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — powiedział ten ostatni. — Czego od niego chcesz?

— Czy to są dwa Cyborgi? — spytał Srengaard.

— Bez wątpienia nie mają ludzkich uczuć. To, co czują prawie nie istnieje.

— Więc jak możesz powierzyć im swoją żonę? Palce zwolniły uścisk.

— Mogę uzasadnić swoje prawo do życia — zakończył Srengaard.

Harrey poklepał go. Kontakt cielesny między nimi dawał nieprzetłumaczalne poczucie wspólnoty. Srengaard znalazł sprzymierzeńca.

Bonmur podszedł do nich.

— Zabijesz go wreszcie? — syknął zirytowany.

— Nikt go nie zabije.

— W takim razie co się stanie?

— Rozwiązałem pewien problem. — Ręka Harreya spoczywała dalej na ramieniu Srengaarda, który odkrył, iż poprzez ruch palców mógł poznać intencje Duranta: „Czekaj, nie ruszaj się. Ja się tym zajmę”.

— Co robisz z jeńcem? — ciągnął Bonmur.

— Uwalniam go i powierzam mu swoją żonę. Bonmur spojrzał mu w oczy.

— A jeśli nam się to nie spodoba?

— Głupota — poczerwieniał Igan. — Jak można mu ufać, kiedy my tu jesteśmy.

— Bo to człowiek jak my. Będzie postępował z moją żoną jak człowiek, nie maszyna uważająca ją za praktyczny środek do przetransportowania embrionu.

— Absurd! — szczeknął Igan, zbyt późno zdając sobie sprawę z faktu, iż Harrey odkrył ich prawdziwą naturę. Chciał coś dodać, ale Bonmur uciszył go ruchem ręki.

— Nadal nam nie wytłumaczyłeś, co zrobisz, jeśli się nie zgodzimy.

— Nie jesteście całkowitymi Cyborgami. Czasami wyczuwam wasz lęk. Jesteście w trakcie modyfikacji, a więc pozostajecie ułomni.

Bonmur cofnął się o trzy kroki i szacował przeciwnika.

— A Glisson? — spytał.

— Glisson poszukuje solidnych sprzymierzeńców. Jak ja.

— Skąd możesz wiedzieć, że możesz mu ufać? — nalegał Igan.

— Stawiając to pytanie, ujawniasz waszą nieskuteczność. — Harrey odwrócił się do niego plecami i zaczai rozwiązywać ręce Srengaardowi.

— Bierzesz za to odpowiedzialność — zakończył Bonmur.

— Idę poszukać Glissona — Igan wyszedł. Harrey rozwiązał Srengaarda i wstał.

— Wiesz, w jakim stanie jest moja żona?

— Słuchałem Igana — odparł Srengaard. — Wszyscy chirurdzy studiują historię i początki genetyki. Teoretycznie znam jej stan.

Bonmur prychnął z pogardą.

— Oto torba Igana — powiedział Harrey wskazując czarną teczkę. — Powiedz mi, dlaczego moja żona jest chora?

— Wyjaśnienia Igana ci nie wystarczają? — Bonmur poczuł się urażony.

— Powiedział mi, że to naturalne. Czy choroba może być naturalna?

— Wzięła jakieś lekarstwo. Wiesz jakie? — spytał Srengaard.

— W ciężarówce dali jej identyczną pigułkę — podobno środek uspokajający.

Srengaard podszedł do Lizabeth, obejrzał jej oczy i skórę.

— Przynieś mi torbę — poprosił Harreya. Zaprowadził Lizabeth do jednego z łóżek. Pomysł dokonania badania pacjentki fascynował go. Wczoraj uznałby to za odrażające, ale fakt, że Lizabeth nosiła embrion, tak jak dawniej wszystkie kobiety, był zagadką podniecającą jego ciekawość.

Kiedy Srengaard pomagał się jej położyć, kobieta spojrzała pytająco na męża. Ten skinął uspokajająco głową. Lizabeth

bezskutecznie starała się uśmiechnąć do niego. Bała się, ale nie chirurga, lecz badania. Jej strach walczył ze środkiem uspokajającym zaaplikowanym przez Igana.

Srengaard otworzył torbę, przypominając sobie wykłady uniwersyteckie. Były one przedmiotem żartów, ale żarty miały jedną zaletę: utrwalały w pamięci wiedzę.

„Trzymaj się dobrze, bo kiedy odpadniesz, będziesz musiał umieć pływać". Słyszał ciągle ten refren i śmiechy mu towarzyszące.

Schylił się nad pacjentką. Ciśnienie… enzymy… białka…

Po badaniu zmarszczył brwi.

— Coś nie w porządku? — spytał Harrey. Bonmur stał z tyłu ze skrzyżowanymi rękami.

— Tak, poziom hormonów menstruacyjnych jest za niski. Przypomniał sobie… „Trzymaj się dobrze…"

— Embrion kontroluje wszystkie przemiany — roześmiał się Bonmur.

— Tak, ale dlaczego ta zmiana? Niech pan to wyjaśni, jeśli posiada pan taką wiedzę. Znalazł się pan już w podobnej sytuacji? Czy dawne pacjentki nigdy nie miały poronień?

— Niektóre — przyznał Bonmur niechętnie.

— Myślę, że embrion nie jest dość dobrze przyczepiony do ścianki macicy — sprecyzował, aby Harrey go zrozumiał. — Embrion musi trzymać się mocno. Hormony przygotowują podłoże podczas cyklu menstruacyjnego.

Bonmur wzruszył ramionami.

— Oczywiście był pewien procent strat. — Moja żona nie jest „pewnym procentem strat" warknął Harrey. Odwrócił się w kierunku chirurga z taką wściekłością, że tamten aż się cofnął.

— Takie rzeczy się zdarzają — Bonmur zauważył jak Srengaard wyjmuje z torby Igana strzykawkę.

— Wstrzyknę jej małą, uzupełniającą dozę enzymów. Spostrzegł, że Harrey jest przestraszony.

— Tylko to możemy zrobić. Powinno poskutkować, pod warunkiem, że jej organizm nie ucierpiał za bardzo przy…

Jednym ruchem ręki objął ucieczkę, strach, wyczerpanie.

— Rób, co uważasz za najlepsze — powiedział Harrey. Po zrobieniu zastrzyku Srengaard pogłaskał ramię Lizabeth.

— Postaraj się wypocząć. Odpręż się i ruszaj jak najmniej.

Lizabeth odczytała myśli chirurga i stwierdziła, że jest szczery. Niemniej nie mogła się pozbyć obawy. Glisson — mruknęła. Srengaard zrozumiał jej niepokój.

— Nie pozwolę mu ruszyć cię, dopóki nie będę pewny twojego stanu. Po prostu będzie musiał czekać.

— Nie pozwolisz mu — ironizował Bonmur.

Jakby dla podkreślenia tego stwierdzenia, ziemia zatrzęsła się wokół nich i w chmurze kurzu pojawił się Glisson. Harrey poderwał się, zasłaniając żonę ciałem. Srengaard dalej klęczał przy torbie. Bonmur uskoczył pod ścianę.

— Wibracje!

— Nie — odparł Cyborg. Jego głos stracił swą zwykłą monotonię. Teraz był zadziwiająco melodyjny, wręcz śpiewny.

Czwórka uciekinierów spostrzegła, że- Cyborg stracił ramiona. Poszarpane przewody zwisały mu wzdłuż tułowia.

— „Oni" nas osaczyli — ciągnął dalej Glisson śpiewa jącym tonem. Najwyraźniej coś się w nim popsuło. — Jak widzicie, jestem bezbronny. Teraz rozumiecie dlaczego nie można otwarcie stanąć przeciwko „nim"? Mogą zniszczyć co chcą, kogo chcą i kiedy chcą.

— A Igan — szepnął Bonmur.

— Iganów łatwo się niszczy. Od trzydziestu sekund jest to fakt empiryczny.

— Co zrobimy? — spytał Harrey. Glisson spojrzał na niego.

— Zaczekamy.

— Jeden z nas mógłby zmierzyć się z batalionem bojowym SB, aby umożliwić Potterowi ucieczkę — zauważył Bonmur — a ty myślisz tylko o czekaniu!

— Nie jestem zaprogramowany na przemoc. Zobaczycie zresztą co się stanie.

— Co oni zrobią? — spytała Lizabeth.

— Wszystko, co będą chcieli — odparł Glisson.

Rozdział 18

— No i po sprawie — powiedziała Calapina, spoglądając na Nurse i Schruillę.

— Czy zauważyliście emocje Srengaarda? — spytał Schruilla, wskazując krzywe na jednym z ekranów.

— Był po prostu przerażony — skomentowała Calapina. Schruilla zerknął na swoją towarzyszkę. Wizyta w aptece przywróciła jej spokój, ale nadal była jakaś przybita. Kalejdoskop świateł z monitorów dawał jej skórze niezdrowy, siny odcień.

Nurse spojrzał w górę. Nadal wszyscy Nadludzie śledzili rozwój wydarzeń.

— Musimy podjąć jakąś decyzję — zauważył.

— Wydajesz się blady — zauważyła Calapina. — Czy masz kłopoty z enzymami?

— Nie większe niż ty. Drobny brak równowagi. Już jest lepiej.

— Proponuję, żeby ich tu natychmiast przyprowadzić — powiedział Schruilla.

— Po co? — spytał Nurse. — Lepiej od razu ich zniszczyć.

— Nie podoba mi się fakt, że nielegalny embrion, a kto wie ile ich jest, znajduje się na wolności — odparł Schruilla.

— Czy jesteś w stanie przyprowadzić ich tu żywych? — spytała Calapina.

— Sam Cyborg przyznał, że jego możliwości są ograniczone.

— Chyba, że jest to… podstęp — stwierdził Nurse.

— Nie sądzę — powiedziała Calapina. — Kiedy będziemy mieli ich pod ręką, wydobędziemy z ich tępych mózgów wszystkie informacje, których potrzebujemy.

Nurse obrócił się na tronie, aby z bliska obejrzeć Calapinę. Nie rozumiał co uległo zmianie w jej zachowaniu. Mówiła z wulgarnością kobiety z Masy. Całkiem jak wampir odurzony zapachem krwi.

„Co jest odpowiednikiem zapachu krwi?" — zastanowił się. Odpowiedź, którą znalazł, zaszokowała go.

— Czy są w stanie popełnić samobójstwo? — spytał. — Manipulatorka i wielu chirurgów tak postąpiło. Nie byliśmy w stanie zapobiec ich autodestrukcji.

— Ależ jesteś wulgarny! — zauważyła Calapina.

— Ja wulgarny? — pokręcił głową zupełnie zaskoczony. — Chcę po prostu zapobiec nowym kłopotom. Zniszczmy ich natychmiast i wykonujmy dalej naszą pracę.

— Ale Glisson jest najprawdziwszym Cyborgiem — zaoponował Schruilla. Jego pamięć może nam wiele ujawnić.

— Przypominam sobie Cyborga, który był z Potterem —

powiedział Nurse. — Lepiej nie ryzykować, to może być pułapka.

— Proponuję, aby wdmuchać tam środki nasenne.

— W takim razie jeszcze raz uciekną. Schruilla wzruszył ramionami. Czy to trudne?

— Do innej megalopolii? To chcesz powiedzieć?

— Zaraza się rozprzestrzenia. Nawet w Centrum byli zdrajcy. Zlikwidowaliśmy ich, ale…

— Żądam, aby ich natychmiast zabić! — krzyknął Nurse. — Jestem tego samego zdania co Schruilla. Co ryzykujemy? — powiedziała Calapina.

— Im prędzej z nimi skończymy, tym szybciej będziemy mogli wrócić do naszych zadań — stwierdził Nurse.

— Ale my właśnie wykonujemy swoje zadanie.

— Chciałbyś wysterylizować jeszcze jedną megalopołię, prawda, mój drogi Schruillo? — Nurse roześmiał się. — Którą tym razem? Co powiesz o Lorvil?

— Jeden raz mi wystarczy. Ale osobiste gusty nie mają nic wspólnego z całą sprawą.

— Głosujmy więc — zaproponowała Calapina.

— Ciekawe, dwoje przeciw jednemu, czemu nie? — zakpił Nurse.

— Chciałam powiedzieć, że trzeba zrobić głosowanie generalne.

Schruilla spojrzał na kamery nad nimi:

— Mamy ąuorum — oznajmił.

Nurse wiedział, że znalazł się w pułapce. Ale nie ośmielił sprzeciwić się głosowaniu. Jego towarzysze byli zbyt pewni siebie.

— Pozwoliliśmy działać Cyborgom — zauważył — bo zwiększali liczbę płodnych embrionów w naszych rezerwach genetycznych. Czy robiliśmy to, aby teraz zniszczyć tę rezerwę?

Schruilla wskazał na piramidę cyfr na jednej ze ścian.

— Jeśli stanowią dla nas ryzyko, tak, ale my poszukujemy embrionów nie zarejestrowanych i odpornych na gaz antykoncepcyjny. Jak inaczej mogli wyprodukować ten, który nam podrzucili?

— Nie tylko o to chodzi — dodała Calapina. — Potrzebujemy ich.

— A potem zniszczymy wszystkich? — spytał Nurse. — Całą Masę?

— I wyprodukujemy nowe pokolenie kopii — dodała Calapina. — Czemu nie?

— Kopie nie są dokładnie takie same jak oryginały — zauważył Nurse.

— Nasza władza jest nieograniczona — stwierdził Schruilla.

— Nasze słońce nie jest wieczne — odparł Nurse.

— Rozwiążemy ten problem w odpowiednim czasie — zakończyła Calapina. Nie ma dla nas problemów bez wyjścia. Mamy dosyć czasu

na ich rozwiązanie.

— Ale jesteśmy sterylni — powiedział Nurse. — Nasze gamety nie chcą się łączyć.

— I dobrze — skomentował Schruilla. — To mi odpowiada.

— Wszystko, czego nam teraz trzeba, to głosowanie — dodała Calapina. — Musimy w nim zadecydować, czy sprowadzić tu tę grupę kryminalistów. Po co robić ? tego problem?

Nurse wolał się nie odzywać.

— No i? — spytał Schruilla.

— Myślę, że ta grupka jest naszym jedynym wyjściem — powiedział Nurse. — Sterylny chirurg, dwa Cyborgi i parka — wzruszył ramionami.

— A Durant był gotowy zlikwidować Steryla — zauważył Schruilla.

— Nie — sprzeciwiła się Calapina. — Nie wymazałby nikogo.

Nagle poczuła, że zgadza się z Nurse. Przecież to była logika i rozumowanie Nadczłowieka, które ją zawsze pociągały!

— Calapino! — interweniował Schruilla widząc, że ona zaczyna ulegać.

— Wszyscy śledziliśmy emocje Durantów — dodał Nurse, wskazując na aparaturę. — Nie zabiłby nikogo… Uczył Srengaarda, przekazując mu wiadomości za pomocą ręki.

— Jak robi to ze swoją żoną…

— Właśnie. — Waszym zdaniem mamy zaludnić świat nowymi kopiami — powiedział Nurse. — Ale jakiego modelu użyć? Może mieszkańców Seatac?…

— Albo naszych aktualnych więźniów — zaproponował Schruilla, zastanawiając się dlaczego przeszedł nagle do obrony.

— Głosujmy wreszcie! — zawołał. — Przywozimy ich na przesłuchanie czy niszczymy?

— Nie trzeba — powiedział Nurse. — Zmieniłem zdanie. Przyprowadźcie ich tutaj… jeśli się to wam uda.

— Więc załatwione — powiedział Schruilla manipulując czymś przy tronie. — Widzicie, jakie to proste.

— Doprawdy — mruknął Nurse. — Ale teraz wytłumacz nam, dlaczego Calapina i ja czujemy się niezdolni do użycia przemocy? Dlaczego z nostalgią wspominamy błogosławioną epokę, kiedy Max bronił nas przed nami samymi.

Rozdział 19

W sali zebrań nie było takiego tłumu od czasu obrad nad zalegalizowaniem eksperymentów Cyborgów, jakieś 30 tysięcy lat temu. Nadludzie siedzieli półkolem na ławeczkach z plasmeldu wyłożonych poduszkami. Niektórzy byli nadzy, ale większość, zdając sobie sprawę z oficjalnego charakteru zebrania, pozakładała na siebie przedziwne stroje. Od listków figowych, aż po togi z pióropuszami. Ci, którzy nie dostali się do przepełnionej sali, obserwowali spektakl za pośrednictwem tysiąca kamer.

Zaczynało dopiero świtać, ale żaden Nadczłowiek już nie spał. Przemieszczono kulę. Trójca znajdowała się teraz w pierwszym rzędzie. Służba przytransportowała więźniów umieszczonych na pneumatycznym wózku. Byli unieruchomieni pasami z plasmeldu, które ledwo pozwalały im oddychać.

Obserwując ich, Calapina przez moment dała się ogarnąć litości. Kobieta była przerażona, jej mąż wściekły, Glisson i Bonmur zrezygnowani, a Srengaard gapił się na Nadludzi z nieukrywaną ciekawością.

Calapina czuła, że czegoś jej brakuje. Nie wiedziała czego, miała tylko wrażenie, że coś jest nie tak. „Nurse ma rację" — pomyślała. „Oni są bardzo ważni". Jeden z widzów, siedzący przy drzwiach, przyniósł ze sobą skrzynkę muzyczną. Rytmiczne dźwięki przebijały się nad gwarem Nadludzi, lecz wkrótce zrobiło się cicho.

Pomimo strachu, Lizabeth z uwagą obserwowała zebranie. Nigdy nie widziała na żywo żadnego Nadczłowieka. Wszyscy oni byli inni, oryginalni i bardzo odlegli. Wydawało się jej, że ta chwila nie mogła być dziełem przypadku. Ktoś musiał to zorganizować…

— Są całkowicie unieruchomieni — oznajmił Schruilla. — Nie ma się czego obawiać.

Nurse przypomniał sobie niespodziewanie pewną scenę z dzieciństwa. Zaprowadzono go do apartamentu pewnego antykwariusza. Znajdowały się tam plasmeldowe kopie zaginionych rzeźb: wielka ryba, rycerz bez głowy, mnich w kapturze oraz parka połączona w uścisku. Lizabeth i Harrey przypominali tamtą rzeźbę.

„W pewnym sensie są to nasi krewni. Pochodzimy od Masy".

— Calapina odkryła, czego jej brakowało. Stracił swoją użyteczność, a nowy Max nie był jeszcze gotowy.

„Ciekawe to jego zniknięcie! Życie ludzi z Masy jest takie dziwne. Jednego dnia są, drugiego nie ma ich. Muszę się dowiedzieć, co się stało z Maxem". Jednak w głębi duszy wiedziała, że nie będzie miała odwagi zająć się tym problemem. Odpowiedź zawierałaby bowiem to okropne słowo, które nawet pod postacią eufemizmu było straszne.

— Spójrz na Cyborga — powiedział Schruilla. — Ciekawe, że nasza aparatura nie wyczuwa żadnej z jego emocji, nieprawdaż?

— Może on nic nie czuje? — odparła Calapina.

— Całkiem możliwe.

— Nie mam do niego zaufania — rzekł Nurse. — Starsi ostrzegali mnie przed pułapkami Cyborgów.

— To prawie robot — stwierdził Schruilla. — Zaprog ramowany, aby działać w jak najbardziej precyzyjny sposób w każdych warunkach niosących zagrożenie. Jego obecny spokój jest naprawdę irytujący.

— Powinniśmy go chyba przesłuchać? — spytał Nurse.

— Za chwilę — odparł Schruilla. — Przetrzemy ich mózgi przez to sito, ale póki co, nie zaszkodzi trochę pooglądać.

— Schruillo, jesteś wulgarny — stwierdziła Calapina. Ten spojrzał na nią. Jej głos wydał mu się dziwny. Poczuł nagle ogromny strach.

Spod ciężkich powiek oczy Glissona badały chłodno Nadludzi.

— Durant, zauważyłeś?

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Rozmawiają — stwierdziła Calapina. W tej chwili zauważyła we wzroku Duranta obrzydzenie mieszane z litością.

„Litością?!”

Rzut oka na wskaźniki potwierdził; „l i t o ś ć”. Jak oni śmią litować się nad nią?!

— Harrey — szepnęła Lizabeth.

Złość ogarnęła Harreya, kiedy mimo prób nie zdołał się odwrócić na tyle, by zobaczyć żonę.

— Liz, kocham cię.

— To czas nienawiści, a nie miłości — wtrącił się Glisson. — Nienawiści i zemsty!

— Co mówisz? — szepnął Srengaard, który słuchał ich z rosnącym zdumieniem. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wdać się w pertraktacje z Nadludźmi, powiedzieć że był więziony, ale szósty zmysł odwiódł go od tej myśli. Kim był dla tych istot… Pyłem!

— Popatrzcie na nich z lekarskiego punktu widzenia — sprecyzował Glisson. — Oni umierają.

Lizabeth, która zamknęła oczy, aby powstrzymać łzy, otworzyła je teraz. Starała się patrzeć zgodnie ze wskazów karni Cyborga. Nadszedł czas, aby wykorzystać umiejętności nabyte podczas treningów w Ruchu Oporu.

— Rzeczywiście umierają — zauważyła.

Śmierć rysowała się na twarzach Nieśmiertelnych. Oto, co Glisson spostrzegł jako pierwszy.

— Ludzie'z Masy są czasami odrażający — stwierdziła Calapina.

— To niemożliwe! — krzyknął Srengaard. Ton jego głosu

zaciekawił Lizabeth. Nie zawierał ani śladu rozpaczy.

— Są odrażający — powtarzam to. Prosty aptekarz nie ma prawa mi się sprzeciwiać!

Bonmur wyszedł wreszcie z letargu. Jego komputer zarejestrował rozmowę i wyciągnął wnioski. Były chirurg, obecnie pół-cyborg ocenił zmiany skóry Nadludzi. Prawda! Coś pękło w ich systemie enzymatycznym. Szok spowodowany tym odkryciem wywołał u niego uczucie pustki. Powinien coś czuć, ale już nie potrafił.

— Te słowa — powiedział Nurse. — Ich rozmowa jest bez sensu. Według ciebie Schruillo, o czym oni mówią?

— Spytajmy ich lepiej o embriony — zaproponowała Calapina.

— Spójrzcie tam, w ostatnim rzędzie… ten najwyższy! — zawołał Glisson. — Widzicie, jakie ma zmarszczki?

— Wygląda bardzo staro — szepnęła Lizabeth. Czuła się, jakby coś utraciła. Dopóki byli wieczni Nadludzie, świat był oparty na pewnych zasadach. Nawet walcząc miała to wrażenie. Ludzie z Masy umierali, Cyborgi może też, ale Nadludzie, żyli, żyli…

— Co się dzieje? — spytał Srengaard. — Co się z nimi dzieje?

— Drugi rząd, trzecia od lewej — ciągnął Glisson. — Ta ruda, ma zgaszony wzrok.

— O czym oni mówią? — spytała Calapina. Czuła, że jest zdenerwowana.

Szum niezadowolenia podniósł się na sali. Słychać było złośliwe okrzyki na przemian z nerwowym chichotem.

„Powinniśmy przesłuchać przestępców” — pomyślała. — Kiedy zaczniemy. Czy ja mam to zrobić?”

Spojrzała na Schruillę, lecz on gapił się na Duranta. Odwróciła się więc do Nurse, ale ten z kolei błądził wzrokiem po suficie. Zgrubienie, którego wcześniej nie spostrzegła, deformowało jego szyję, na policzku widać było kilka czerwonych żyłek.

„Muszę więc działać sama!”

Dotknęła pierścienia i purpurowe światło zalało scenę. Rubinowy promień wytrysnął spod sklepienia sali i skierował ku jeńcom.

Schruilla patrzył na poruszający się promień. Niedługo jeńcy staną się wrzeszczącymi kreaturami i zwymiotują wszystkie swoje wiadomości, które przeanalizuje aparatura. Po operacji zostaną z nich tylko gołe systemy nerwowe otoczone czerwonym światłem.

— Stać! — rozkazał Nurse.

Promień znieruchomiał. Nadczłowiek poczuł, że popełniają właśnie jakąś ogromną pomyłkę. W zupełnej ciszy rozejrzał się po sali, by zobaczyć, czy jeszcze ktoś zdał sobie z tego sprawę. W tej sali znajdowała się tajna aparatura, stanowiąca podstawę ich władzy. Życie w stanie surowym i dzikim wdarło się do tego uporządkowanego świata. Na tym polegała pomyłka.

— Po co czekać? — spytała Calapina.

Nurse starał się zebrać myśli. Przerwał przesłuchanie. Dlaczego? „Ból!"

— Nie powinniśmy zadawać cierpień — odparł. — Trzeba dać im szansę zanim zastosujemy siłę.

— Zwariowali — mruknęła Lizabeth.

— Zwyciężyliśmy — rzekł Glisson. — Przez moje oczy wszystkie Cyborgi to widzą. Wygraliśmy. — Ale oni nas zabiją — stwierdził Bonmur.

— Nieważne. Wygraliśmy.

— Jak? — spytał Srengaard na głos.

— Podsunęliśmy irn Pottera na przynętę. Zasmakowali przemocy. Wiedzieliśmy, że będą na to patrzeć. Nie uda im się wymazać ze świadomości tego przedstawienia.

— Dlaczego? — nalegał Srengaard.

— Bo zmodyfikowaliśmy ich otoczenie. Małe drobnostki: trochę napięcia z jednej strony i przerażający Cyborg z drugiej. Daliśmy im poznać smak wojny.

— Co?!

— Instynkt. Wojna jest częścią instynktów ludzkich. Walka i przemoc. Przez tysiące lat cywilizacja Nadludzi żyła w kruchej równowadze, bo udało im się usunąć przemoc. Drogo ich to kosztowało: spokój, rozluźnienie, nuda. I nagle przemoc wkracza na nowo do tego świata, a oni nie umieją się przystosować. Oddalają się coraz bardziej od życia. Nieśmiertelni! Niedługo umrą!

— Wojna? — Srengaard przypomniał sobie o tych wybuchach przemocy, przed którymi Nadludzie chronili Masę. — Niemożliwe! To nieznana choroba, albo…

— Opisałem ci fakty.

— O czym oni mówią?! — wrzasnęła Calipina. Mimo iż wyraźnie słyszała rozmowę więźniów, nie rozumiała jej. Używali okropnych terminów. Czasami trafiało do niej jedno słowo, ale gdy zestawiano je z następnym, tworząc jakąś nieprawdopodobną konstrukcję semantyczną, zupełnie przestawała rozumieć.

— O czym oni mówią? — powtórzyła, zwracając się do Schruillii.

— Za chwilę się dowiemy — odparł.

— Tak, wszystkiego się dowiemy.

— Czy to możliwe? — wyszeptał Srengaard. Przed nim na ławkach niektórzy Nadludzie tańczyli, inni bili się, jeszcze inni spółkowali. Kilku wyzywało się od najgorszych.

Srengaardowi wydawało się, że zaraz zawalą się mury, ziemia się otworzy i wybuchną z niej płomienie.

— Patrzcie na nich — powiedział Glisson.

— Ale dlaczego nie udało im się zrekompensować tej zmiany…

— Ich zdolność dostosowawcza uległa atrofii. Poza tym jedna kompensacja spowodowałaby nową zmianę otoczenia, nowe potrzeby itd. Patrzcie na nich! Tracą kontrolę nad sobą.

— Zamilknijcie! — zawyła Calapina zrywając się z tronu.

Harrey obserwował ją zafascynowany. Jej ruchom brakowało koordynacji, ale oczy miała nad wyraz żywe. Durant potrząsnął głową.

— Ty! — wrzasnęła Calapina wskazując go palcem. — Dlaczego się na mnie gapisz?! Co tam mamroczesz? Odpowiadaj!

Harrey poczuł się sparaliżowany, nie strachem ani groźbą zawartą w głosie Calapiny, ale z powodu swego odkrycia: Calapina była stara! Ile miała lat? Trzydzieści, czterdzieści tysięcy? Jeszcze więcej?

— Mów! Ja, Calapina ci rozkazuję. Jeśli postąpisz po naszej myśli, być może okażemy wyrozumiałość.

Harrey nadal ją obserwował nie mówiąc nic. Wydawało się, iż Calapina nie słyszy zgiełku wokół niej.

— Durant — powiedział Glisson. — Pamiętaj o instynktach, tych prądach, które kierują naszym życiem wedle swego uznania. Widzisz, ile się wokół nas zmienia? Zmiana jest jedynym uniwersalnym prawem.

— Ona umiera.

Calapina nadal nie rozumiała, ale dotknął ją ton współczucia, który wyczuła w głosie Harreya. Spojrzała na ekran kontrolny i zobaczyła, że to współczucie dotyczy jej, a nie Jego samego lub tej głupiej samicy, jego żony.

Nagle ogarnęła ją ciemność i zemdlała.

Glisson roześmiał się ponuro. — Trzeba im pomóc — powiedział Harrey. — Nie wiedzą, co robią.

Schruilla nagle ocknął się z otępienia. Nad sobą odkrył wiele czarnych punktów. Nadludzie wyłączali kamery! Dziwne ruchy tłumu też go niepokoiły; niektórzy wybiegali z sali z dzikim śmiechem.

„Przecież mieliśmy ich przesłuchiwać”.

Również jego opanowała histeria. Spojrzał na Nurse.

Tamten siedząc z zamkniętymi oczyma mamrotał:

— Wrzący olej. Nie, to zbyt brutalne. Trzeba czegoś bardziej subtelnego, powolniejszego.

— Chciałbym zadać jedno pytanie Durantowi — rzekł Schruilla, pochylając się do przodu.

— Co? — Nurse otworzył oczy.

— Co on chciał osiągnąć?

— Dobre pytanie. Odpowiadaj Durant!

Nurse dotknął pierścienia. Purpurowy promień przesunął się kilka centymetrów do przodu.

— Nie chcę patrzeć jak umieracie — odparł Harrey. — Chciałem…

— Chcieliśmy mieć rodzinę — odparła Lizabeth. — To wszystko. — Łzy ukazały się w jej oczach. Pewna, iż nie przeżyje tego bezsensownego dnia, zastanawiała się, jakie byłoby jej dziecko.

— Co? — zapytał Schruilla. — Co to za bzdury? Rodzinę?

— Skąd mieliście embrion, który nam podrzuciliście? — pytał Nurse, a promień zbliżał się ciągle do jeńców.

— Mamy embriony uodpornione na gaz antykoncepcyjny — rzekł Glisson. Bardzo wiele.

— A nie mówiłem — stwierdził Schruilla.

— Gdzie one są? — spytał Nurse, zauważając jednocześnie ze zdumieniem, że trzęsie mu się prawa ręka.

— Pod waszymi nosami — odparł Glisson. — Tu i tam, w społeczeństwie. Nie pytajcie mnie o ich tożsamość. Nie znam ich wszystkich. Nikt ich nie zna.

— Nie uciekną nam — stwierdził Schruilla.

— Żaden się nie wymknie — dodał Nurse.

— Jeśli będzie trzeba — ciągnął Schruilla — wysterylizujemy całą planetę oprócz Centrum i rozpoczniemy wszystko od nowa.

— Z czym? — spytał Glisson.

— Jak to?

— Gdzie znajdziecie odpowiednie pule genetyczne? Jesteście członkami bezpłodnej rasy na wymarciu.

— Jedna komórka wystarczy nam, by zrobić swoje kopie — odparł Nurse.

— Dlaczego więc tego nie zrobiliście?

— Śmiesz zadawać pytania?

— Odpowiem na to pytanie zamiast was. Nie zdecydowaliście się na kopiowanie, bo kopia jest strukturą niestabilną. Ten proces zbliżyłby was do końca.

Ciągle leżąc na podłodze, Calapina słyszała tylko oderwane słowa: „bezpłodny, wymarcie, koniec…”

— Nie potrzebujemy materiału genetycznego — stwierdził Schruilla.

Calapina usłyszała go i wreszcie zrozumiała, co miał na myśli. W końcu to dotarło do jej świadomości. Jest nas dużo. Ludzie z Masy są naszymi udomowionymi zwierzętami, których już nie potrzebujemy!

— Znalazłem karę dla tych kryminalistów! — zawołał radośnie Nurse. — Będziemy drażnić ich nerwy mikron po mikronie. Spowoduje to straszliwy ból, który będzie mógł trwać wieki.

— Przecież mówiłeś, że nie chcesz, aby cierpieli — zdziwił się Schruilla.

— Tak? — Nurse wyglądał na zażenowanego.

„Źle się czuję” — pomyślała Calapina. — „Potrzebny jest mi dłuższy pobyt w aptece”. Apteka. To słowo obudziło ją do końca.

Leżała na podłodze i bolał ją nos. Był wilgotny.

— Mimo wszystko twoja propozycja jest ciekawa — stwierdził Schruilla. — Po każdym razie możemy naprawiać ich nerwy, aby cierpienie trwało bez końca. Straszliwe, wieczne cierpienie. Piekielne.

— Piekło — ucieszył się Nurse. — Wspaniale!

— Są wystarczająco stuknięci, aby to zrobić — warknął Srengaard. — Jak ich powstrzymać?

— Glisson, zrób coś — prosiła Lizabeth. Ale Cyborg milczał.

— Tego nie przewidzieliście — ciągnął Srengaard. — Odpowiadaj.

— Mieli umrzeć. Po prostu — spokojnie odparł Glisson.

— Tak, ale teraz mogą wszystko wysterylizować i oddać się swemu szaleństwu — dodał Srengaard. — Także torturować nas do końca świata.

— Nie do końca — poprawił go Glisson. — Oni umierają. Hałas rozległ się gdzieś w głębi sali, ale więźniowie, unieruchomieni, nie mogli zauważyć, co go spowodowało.

Panika wzrosła.

Calapina wstała. Bolały ją nos i usta. Spostrzegła dziwne zamieszanie. Nadludzie skakali po ławkach wrzeszcząc jak opętani i okładając się pięściami. Jakieś ciało wyleciało w powietrze i z łoskotem spadło ze schodów.

„Co oni robią?" — zastanowiła się Calapina — „Biją się między sobą?!"

Grzbietem dłoni przejechała po twarzy. Krew! Smakowity zapach dotarł do jej nozdrzy. Jej własna krew! Zafascynowana podsunęła rękę pod nos Harreyowi.

— Krew! — powiedziała chwytając się za bolący nos. — To boli! Dlaczego? DurantL. Wyjaśnij mi to! — Spojrzała mu prosto w oczy. Oczy mężczyzny przepełnione były współczuciem. Przynajmniej on był ludzki. Interesował się nią.

Dla Harreya Calapina przestała być Nadkobietą i stała się Lizabeth, kobietą, jedną z kobiet. Kiedy tak na niego patrzyła, zrozumiał, że potrzebuje ona współczucia i pocieszenia.

— Ja też cierpię, Calapino. Dlatego, że widzę jak umierasz.

Przez chwilę Calapina miała wrażenie, że znów jest cicho. Ale w rzeczywistości hałas trwał dalej. Nurse podśpiewywał „pięknie, pięknie". Schruilla wtórował mu: „wspaniale, wspaniale!" Była więc jedyną, która usłyszała te straszne słowa, to bluźnierstwo. Od tysięcy lat słowo „śmierć" było dla niej pozbawione sensu. Straciło znaczenie do tego stopnia, że nawet nie było możliwe myślenie o nim. Ale teraz usłyszała je. Chciała uciec, zapomnieć, ale coś zatrzymywało ją przy Harreyu.

— Proszę cię — jęknęła Lizabeth. — Uwolnij nas. Jesteś kobietą,

więc musisz być zdolna do współczucia. Nic ci nie zrobimy. Nie ma niczego złego w pragnieniu miłości i życia. Nie chcieliśmy was zranić.

Do Calapiny nie docierały te prośby. Słowa Harreya jeszcze dźwięczały w jej uszach: „umierasz, umierasz…" Przebiegł ją dreszcz. Słysząc nowy wrzask tłumu, zrozumiała, że jest chora, złapana w pułapkę. Dusząc się ze złości, nacisnęła jeden z przycisków na wózku. Plasmeldowe pasy, które trzymały Glissona, zaczęły się zaciskać. Charczący jęk wydobył się z gardła Cyborga. Calapina nacisnęła drugi guzik. Pasy powróciły do wyjściowej pozycji. Glisson rzęził. Następnie kobieta skierowała rękę ku przyciskowi znajdującemu się obok Harreya.

— Postaraj się wytłumaczyć swoje bluźnierstwa. Harrey nic nie odpowiedział.

W chwili gdy Calapina miała go zmiażdżyć, Srengaard wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Dlaczego on, niewolnik z krwi i kości, został wybrany przez przeznaczenie by oglądać Glissona i Bonmura siedzących sztywno z tępymi minami, Nurse i Schruillę bełkoczących, innych Nadludzi, którzy znaleźli sobie nową zabawę polegającą na tłuczeniu głowami o ławki i ściany, Calapinę gotową zabić jeńców i zapomnieć o tym dziesięć sekund później. Histeryczne konwulsje wstrząsały chirurgiem, który bezskutecznie starał się zaczerpnąć tchu. Głos Calapiny pomógł mu odzyskać spokój.

— Imbecylu. Mów, o co chodzi.

Srengaard spojrzał na swoją rozmówczynię i śmiech ustąpił miejsca litości. Przypomniał sobie, gdzie są centra medyczne i zrozumiał dlaczego umieszczono je z daleka od morza. Nadludzie instynktownie unikali mórz i oceanów, bowiem te falowały w ciągłym rytmie przypływów i odpływów. Nie umieli zaakceptować owego ciągłego przypominania o powszechnym ruchu w te i z powrotem, który wykreślili ze swojego życia.

— Odpowiadaj! — Ręka Calapiny była przy jego guzikach. „Ich dusze otrzymały tylko jedną ranę" — myślał

Srengaard.

Dzień po dniu, tysiąclecie po tysiącleciu ta rana ciągle się pogłębiała. Czyż nieśmiertelność była tylko iluzją? A jeśli życie mimo wszystko miało koniec? Nigdy wcześniej Srengaard nie pomyślał, jaką cenę zapłacili Nadludzie za nieśmiertelność. Im bardziej ją posiadali, tym bardziej zyskiwała na znaczeniu, tym bardziej bali się, że ją utracą… strach rósł bez końca… bez końca…

Ale istniała pewna luka, którą Cyborgi wykorzystały. Jednak ze względu na brak uczuć, nie były w stanie przewidzieć konsekwencji szoku.

Nadludzie przez całe życie kryli się za eufemizmami. Tak więc używali nazwy „aptekarze", a nie „lekarze", bo słowo „lekarz" miało

coś wspólnego z chorobą, czyli rzeczą niemożliwą do zaakceptowania. Nadludzie uznawali tylko aptekarzy i ich niezliczone apteki. Nigdy nie znajdowały się one daleko. Nigdy nie opuszczali Centrum. Wieczni nastolatkowie uwięzieni w przychodni zdrowia.

— Więc nie chcesz mówić?

— Czekaj — rzekł Srengaard widząc, że Calapina już dotyka przycisku.

— Kiedy zabijecie wszystkich płodnych, wy — Nadludzie — zostaniecie sami. Gdy będziecie umierać jeden po drugim, co wtedy zrobicie?

— Jak śmiesz? Zadajesz mi pytanie, mimo iż moja wiedza i doświadczenie są nieskończenie większe od twojej.

Srengaard spojrzał na jej zakrwawiony nos.

— Nadczłowiek — powiedział powoli — to też jest Steryl, którego istnienie polega na ciągłych kroplówkach z enzymów przedłużających życie… aż do chwili wewnętrznej degeneracji. Myślę, że chcecie umrzeć.

Calapina spostrzegła, iż na sali zapanowała całkowita cisza. Zauważyła, że wszyscy patrzą na nią. Zrozumiała dlaczego: „Widzą krew na mojej twarzy".

— Korzystacie z nieśmiertelności — ciągnął chirurg. — Ale czy dzięki temu jesteście inteligentniejsi, bardziej mądrzy? Nie, po prostu macie więcej czasu, aby się uczyć i zdobywać doświadczenie. Zresztą większość z was nie posiada za grosz inteligencji, w przeciwnym razie dawno zrozumielibyście, że równowaga uległa zniszczeniu i umieracie.

Calapina cofnęła się o krok. Te słowa dotarły do niej wreszcie i cięły jej nerwy jak skalpele.

— Spójrzcie na siebie — mówił dalej Srengaard. — Jesteście chorzy, wszyscy. A wasza komputerowa apteka, co ona teraz robi? Odpowiem na to pytanie: przepisuje wam coraz większe dawki. Stara się przywrócić równowagę. Do tego została zaprogramowana i tak będzie działać, aż do końca. Ale ona was nie uratuje.

— Uciszcie go! — krzyknął ktoś. Po chwili wszyscy zaczęli powtarzać to zdanie, tupiąc nogami i klaszcząc.

— Uciszcie go! U-cisz-cie! U-cisz-cie!

Calapina zatkała sobie uszy, ale nadal słyszała krzyk. Nagle zauważyła, że Nadludzie opuszczają ławki i ruszają w kierunku jeńców. Przemoc gotowa była wybuchnąć.

Zatrzymali się w ostatniej chwili.

W pierwszej chwili nie zrozumiała tego, opuściła ręce. Krzyki wibrowały w jej uszach. Wśród nich rozróżniała imiona zapomnianych bogów. Wszyscy patrzyli w głąb sali. Calapina poszła za ich przykładem. Tam Nurse tarzał się po podłodze z pianą na ustach i

skórą pokrytą czerwonobrązowymi cętkami. Konwulsyjnie przykurczone ręce tłukły o podłoże.

— Zróbcie coś! — krzyknął Srengaard. — On umiera! — Sam ocenił dziwność swoich słów: „Zróbcie coś!”. W każdych warunkach lekarz pozostawał lekarzem.

Widząc co się dzieje z Nurse, Calapina cofała się, przyciskając ręce do piersi. Schruilla podskakiwał na tronie, dalej coś mamrocząc.

— Calapino — rzekł Srengaard. — Jeśli nie chcesz mu pomóc, zwolnij mnie, abym ja się nim zajął.

Pośpiesznie usłuchała go, szczęśliwa, że może pozbyć się jednego kłopotu.

Pasy osunęły się. Srengaard wstał i o mało nie upadł. Jego ręce i nogi były zesztywniałe. Kuśtykając, podszedł do Nurse. „Brązowe plamy” — myślał szybko — „reakcja na odrzucanie kwasu pantotheinowego i napływ adrenaliny”.

Złapał Nurse pod pachy i zaciągnął go do najbliższego trójkąta sygnalizującego aptekę. Nadczłowiek nie poruszał się, tylko jego pierś podnosiła się lekko.

Inni Nadludzie odsuwali się na bok, jakby Nurse był zadżumiony. Jeden z nich krzyknął:

— Chcę wyjść!

To był sygnał do ucieczki. Masa ciał runęła w kierunku wyjścia. Uciekający przeciskali się nad, pod i pomiędzy sobą, walcząc łokciami i kolanami, wśród krzyków strachu i bólu. Srengaard czuł się, jakby otoczyło go spłoszone stado dzikich zwierząt.

Odruchowo zarejestrował stan kobiety znajdującej się po jego prawej stronie. Rozłożona na ławce, z otwartymi ustami, wydawała się kontemplować krew, która płynęła jej po szyi. Jednak jej plecy były wygięte pod dziwnym kątem, a pierś nie poruszała się. Później przekroczył mężczyznę, który czołgał się ciągnąc za sobą bezwładne nogi. Nadczłowiek zaczął ciążyć chirurgowi i Srengaard o mało się nie wywrócił, kładąc ciało Nurse pod apteką. Z tyłu Durant i Bonmur krzyczeli, aby ich uwolniono.

„Później” — pomyślał Srengaard, pchając drzwi od apteki. Nie otworzyły się. „Oczywiście, przecież nie jestem Nadczłowiekiem”. Wziął rękę Nurse i położył ją na klamce. Drzwi się otworzyły i ukazały się rzędy preparatów: aneuryny, pirymidyny itp. Po chwili znalazł analizator z otworem na ramię. Wszystkie końcówki na wierzchu, strzykawki-wampiry czekały na swą ofiarę. Srengaard zerwał blokadę i otworzył aparat. Po znalezieniu przycisków dla aneuryny i inistolu oraz odcięciu innych przewodów włożył rękę Nurse do otworu. Igły wbiły się w ciało i znalazły żyły. Liczniki zaczęły działać. Po chwili Srengaard wyłączył maszynę i położył Nadczłowieka na ziemi. Skóra konającego była zimna, lepka i jednolicie blada, ale oddech Nurse

zaczął się wyrównywać.

„Szok” — pomyślał lekarz zdejmując marynarkę i przykrywając nią Nadczłowieka. Później zaczął masować go, aby pobudzić krążenie.

Nadeszła Calapina i usiadła przy głowie Nurse. Ściskała pięści tak mocno, że palce jej były białe. Twarz miała bladą, wzrok błądzący. Wydawało się jej, iż pokonała olbrzymią drogę, kierowana wspomnieniami. Od obłędu przeszła do pewnego rodzaju spokojnego rozluźnienia. Kątem oka spojrzała na czerwoną kulę, centrum władzy, które dalej działało automatycznie. Pomyślała o Nurse, o swoich partnerach łóżkowych, kochankach i zabawkach.

— Czy on umrze? — spytała Srengaarda. — Nie od razu. Ale ostatni atak histerii spowodował nieodwracalne zmiany.

Chirurg zorientował się, że z sali dochodzą już tylko jęki i stanowcze rozkazy. To Służba przyszła z pomocą. — Zwolniłam Bonmura i Durantów i nadałam apel, aby przysłano pomoc. Potrzeba więcej lekarzy. Jest wielu… zabitych i rannych.

„Zabitych” — pomyślała — „dziwne słowo w ustach Nadczło wieka”.

Pod presją wydarzeń przyjęła nową postawę, weszła w nowy rytm. Wszystko zaczęło się od wspomnień sprzed czterdziestu tysięcy lat. Wszystkie powróciły, bez wyjątków. Wspomnienia o Maxie, Seatac… kochankach… zabawkach… Nurse.

Srengaard usłyszał sapanie. Nadchodził Bonmur. Trzymał na rękach nieprzytomną kobietę z zesztywniałymi członkami.

— Czy można skorzystać z tej apteki? — spytał. Jego głos był taki, jak głosy wszystkich Cyborgów, ale w jego oczach pozostał jeszcze ślad widzianych przed chwilą okrutnych scen.

— Trzeba sterować ręcznie. Zablokowałem systemy zasilania krążenia.

Gruba żyła mocno pulsowała na szyi kobiety.

— Przygotuję jej coś na odprężenie mięśni. Skurcz był tak wielki, że złamała sobie obie ręce.

Calapina poznała nieprzytomną i przypomniała sobie, że kiedyś pokłóciła się z nią o pewnego mężczyznę.

Srengaard, skończywszy masaż, rozejrzał się po sali. Okaleczony Glisson nie poruszał się. Harrey klęczał przy leżącej żonie.

— Pani Durant! — krzyknął Srengaard przypominając sobie o obowiązkach.

— Wszystko w porządku — uspokoił go Bonmur. — Przymusowy bezruch w ciągu ostatnich kilkunastu godzin to tym razem było coś w sam raz dla niej.

„W sam raz” — pomyślał Srengaard — „Durant ma rację. Cyborgi mają tyle uczuć co maszyny do prania”. — Uciszcie go — jęknął Nurse.

Chirurg schylił się nad nim. Wyglądał nadal niewyjściowo, ale już trochę lepiej.

— Ja się nim zajmę — powiedziała Calapina.

Nurse poruszył głową i spróbował rozejrzeć się wokół siebie. Zabrakło mu jednak sił. Zaczął płakać.

Calapina wzięła delikatnie jego głowę i położyła ją na swym udzie. Zaczęła głaskać go po czole.

— Lubił to kiedyś. Proszę pomóc innym, doktorze.

— Cal, zajęczał Nurse. — Cal… och!… Cierpię.

Rozdział 20

— Bonmur, dlaczego im pomagasz? Nie rozumiem cię? Przecież w tym wszystkim brak logiki!

Przez wejście do kuli Glisson obserwował Calapinę, która siedziała sama na platformie Trójcy. Światła monitorów odbijały się na jej twarzy. Uwolniony z pasów Glisson, dalej siedział na wózku. Szczątki ramion bezwładnie zwisały mu po bokach. Lizabeth leżała na ławce, a Harrey był przy niej. Bonmur siedział na podłodze, bębniąc bezwiednie palcami po kolanie. Na jego prawym rękawie widniała plama krwi.

Srengaard wyszedł zza kuli. Nagle pojaśniało, światła w sali zapaliły się automatycznie z nastaniem nocy. Chirurg zatrzymał się, aby zobaczyć jak się czuje Lizabeth.

— Wszystko w porządku — powiedział klepiąc Harreya po ramieniu. — Jest silna. Obserwowany przez młodą kobietę wszedł do kuli. Mimo iż garbił się ze zmęczenia, uczucie dumy rozpierało go. Nareszcie był potrzebny!

— Calapino, ostatni ranny został odwieziony do szpitala.

— Widzę.

Spojrzała w górę na kamery, które znowu były włączone. Ponad połowę Nadludzi trzeba było oddać pod stałą opiekę medyczną, bo zwariowali. Tysiące spośród nich zginęło, a kilkuset było ciężko rannych. Ci, co przeżyli, obserwowali działalność Centrum z większą uwagą niż kiedykolwiek. Calapina westchnęła. O czym oni mogli myśleć? Teraz, gdy musieli pogodzić się z utratą nieśmiertelności. Sama nie wiedziała, co o tym myśleć, bowiem na przekór wszystkiemu czuła ulgę. — A Schruilla? — spytała.

— Zadeptany w przejściu. On… nie żyje.

— Nurse? — spytała spokojnie.

— Kuracja skutkuje.

— Czy rozumiecie przynajmniej, co się wam stało? — spytał ostro Glisson.

Odpowiadając mu, Calapina nie raczyła na niego spojrzeć.

— Przeżyliśmy tragedię, która zniszczyła delikatną równowagę naszego metabolizmu. Znaleźliście nasz słaby punkt. Teraz jedno jest pewne: nie da się cofnąć wydarzeń.

— Więc rozumiecie — ciągnął Glisson — że każda próba powrotu do waszego poprzedniego stanu spowodowałaby jedynie nudę i stopniową apatię.

Calapina uśmiechnęła się.

— Nie chcemy tego. Ukazał się nam nowy rodzaj życia, o którym nic nie wiedzieliśmy.

— Doskonale przyswoiliście sobie lekcję — w głosie Cyborga zabrzmiała nuta żalu.

— Zgubiliśmy rytm życia, nie potrafiliśmy za nim nadążyć. Chyba to było przyczyną zewnętrznej interwencji.

— A zatem… Im prędzej oddacie władzę w nasze ręce, tym wcześniej wszystko wróci do ustalonego porządku. — W wasze ręce? — zdziwiła się z niesmakiem Calapina. — Równie dobrze możemy skazać się sami na śmierć.

— Przecież już umieracie.

— Wy też.

Srengaard przełknął ślinę. Stare animozje wcale nie zniknęły. Znowu spytał sam siebie, w jaki sposób taki drugorzędny chirurg jak on mógł nagle zmienić się w lekarza niosącego pomoc potrzebującym.

— Mam ci coś do zaproponowania, Calapino — oznajmił.

— Słucham cię — powiedziała ciepłym głosem. Patrząc na Srengaarda, który szukał właśnie odpowiednich słów, przypomniała sobie, że to on uratował życie Nurse i wielu innym. „Nic nie przygotowaliśmy na wypadek, o którym nigdy nie myśleliśmy. Czyżby to było możliwe, że ten, z którego się naśmiewamy z pobłażaniem, miał nas uratować?" Nie śmiała o tym marzyć.

— Cyborgi udoskonaliły sposób utrzymywania uczuć na mniej więcej stałym poziomie — wyjaśnił Srengaard. — Kiedy osiągniecie już tę równowagę, myślę, że znajdę sposób na ograniczenie wahań poziomu enzymów.

Nad Calapiną kamery zaczęły mrugać. Obserwatorzy dawali znaki, że mają pytanie do postawienia. Ona też je miała, ale nie odważyła się go sformułować. Odbicie własnej twarzy na jednym z ekranów przypomniało jej blask oczu Lizabeth, w chwili gdy uwięziona na wózku kobieta błagała ją o ratunek.

— Nie mogę wam przyrzec nieśmiertelności — ciągnął Srengaard — ale chyba większość z was mogłaby pożyć jeszcze kilka tysięcy lat.

— Dlaczego mielibyśmy im pomóc? — spytał Glisson. Srengaardowi wydało się, że w jego głosie zabrzmiała nuta skargi.

— Bo też jesteście skończeni! — krzyknął lekarz. — Nie zdajesz sobie z tego sprawy?

— Nie mów do mnie tym tonem! — warknął Glisson. „Tak więc uczucia nie są im obce" — pomyślał chirurg.

„Duma i złość…"

— Myślisz, że jesteście panami sytuacji? — spytał Srengaard wskazując palcem Calapinę. — Ta kobieta może jeszcze zniszczyć wszystkich nie-Nadludzi na Ziemi.

— Słyszałeś, ty durny Cyborgu? — spytała Calapiną.

— Proszę nie używać tak lekko słowa ,,dureń" — odparł Srengaard, nie spuszczając oczu z Nadkobiety.

— Uważaj na to co mówisz, Srengaard. Moja cierpliwość ma swoje granice.

— I wasza łaskawość też, nieprawdaż? Gorzko się uśmiechnęła.

— Mówiliśmy o przeżyciu — zauważyła. Srengaard westchnął zastanawiając się, czy kiedykolwiek dojdzie do zmiany starych przyzwyczajeń. Ona mówiła tak, jakby nic się nie stało. Nie pierwszy raz stwierdził, że jest uparta.

Harreya zaniepokoiła ta sprzeczka. Ciągle bał się o Lizabeth. Obserwując chirurga i Cyborga starał się opanować wściekłość i lęk. Widok sali przypominał o masakrze, która miała tu miejsce. Rezerwy energii były wystarczające, aby zgnieść ich wszystkich jak muchy, a sterująca tym wszystkim Calapiną nadal znajdowała się w kuli.

— Mówmy więc o przeżyciu — rzekł Srengaard.

— Najpierw musimy sobie coś wyjaśnić — zaczęła Nadkobieta. — Niektórzy spośród nas są zdania, że spełniliście tylko swój obowiązek. Inni nadal uważają was za jeńców i żądają, abyście zostali ukarani, i wydali nam cały Ruch Oporu.

— Dobrze, wyjaśnijmy wszystko — odparł chirurg. — Spójrzcie, z kim macie do czynienia. Ja nie należę do Ruchu Oporu i nie wiem nic o jego członkach. Glisson pewnie coś wie, ale jest to tylko drobna cząstka. Bonmur, jeden z waszych zbuntowanych aptekarzy, wie jeszcze mniej niż Glisson. Durantowie wiedzą tylko to, co zechciano im powiedzieć. Co zyskacie, zmuszając nas do mówienia?

— Plan, który ułożyliście, aby nas uratować.

— Mój plan wymaga współdziałania.

— I da nam tylko przedłużenie życia, bez powrotu do poprzedniego stanu, nie mylę się chyba.

— Powinniście być zadowoleni. Będziecie mieli okazję, aby dojrzeć i stać się pożytecznymi. — Gestem ręki objął całą salę. — Jesteście skamieniali w niedojrzałości! Cały czas bawiliście się jak dzieci. Ja daję wam możliwość życia w pełnym znaczeniu tego słowa.

„Czy to prawda?" — zastanawiała się Calapina. — „Czy ta chęć życia, która nas ogarnia, jest spowodowana faktem, iż wiemy o swojej śmiertelności?"

— Kto powiedział, że będziemy współpracować? — spytał Glisson.

Harrey miał już tego dość.

— Chcieliście zlikwidować ludzką rasę, ty głupi robocie! To nie wy wyciągnęliście nas z kłopotów.

— Bzdury — odparł Glisson.

— Słuchajcie. — Calapina włączyła głośnik. Strzępki zdań Nadludzi wypełniły salę.

— Możemy sami doprowadzić do równowagi enzymatycznej… Zniszczyć ich… Jaki jest jego plan?… Natychmiast wysterylizować…

Jego plan, jego plan… Czy to potrwa długo, jeśli… Na pewno możemy…

Wyłączyła głośnik.

— Trzeba będzie głosować. Przypominani wam o tym.

— Jeśli odrzucicie współpracę, umrzecie, i to szybko. To wszystko — stwierdził Glisson. — Musicie to sobie uświadomić.

— Czy znasz plan Srengaarda? — spytała Calapina.

— Jego intencje są jasne.

— Ale nie dla mnie — stwierdziła Nadkobieta. — Widziałam jak zajmował się Nurse. Rozwalił dozomierz, aby otrzymać niebezpieczną dawkę aneuryny. Kiedy o tym myślę, zastanawiam się, ilu z nas zginie podczas prób zahamowania procesu naszego wymierania. Czy sama ośmieliłabym się wziąć niebezpieczna dawkę? Czy ci spośród nas, którzy zasmakowali przemocy, zechcą powrócić do stanu spokoju? — spojrzała na Srengaarda. — Oto kilka pytań, jakie sobie stawiam.

— Ja znam jego plan — roześmiał się Glisson. — Trzeba stłumić emocje i w każdym z was zainstalować dystrybutor enzymów — w szyderczym grymasie ukazał wszystkie zęby. — To wasza jedyna nadzieja. Przyjmijcie ją, a nareszcie zwyciężymy.

Calapina, kompletnie zaszokowana, spojrzała na niego z osłupieniem.

Ton Cyborga zaskoczył Harreya. W Ruchu Oporu ostrzegano go przed Cyborgami, przed ich wyrachowaniem i podłością, ale po raz pierwszy cechy te aż tak nim wstrząsnęły.

— Czy to twój plan, Srengaard? — spytała Calapina.

— Nie, nie o to chodzi! — krzyknął Harrey. Srengaard przytaknął w duchu.

„Oczywiście, jako człowiek i ojciec doskonale to rozumie”.

— Wydaje ci się, że wiesz to, czego nie wie Cyborg taki jak ja — zadrwił Glisson.

— Embriony — powiedział Durant.

Srengaard twierdząco skinął głową i spojrzał na Calapinę.

— Proponuję, aby każdemu z was wszczepić żywy embrion. Prawdziwy ludzki komputer, który nauczy wasz organizm przystosować się do zmiennych sytuacji. W ten sposób stopniowo odzyskacie uczucia i smak życia.

— Chcesz nas przerobić na żywe probówki? — jęknęła Calapina.

— Można opóźnić ich rozwój o setki lat — wyjaśnił chirurg. — Dzięki odpowiednim hormonom nawet mężczyźni będą mogli dawać życie, oczywiście przez cesarskie cięcie. To nie będzie bolesne… ani częste.

Calapina zastanowiła się nad tą propozycją. Dlaczego nie odczuwała niesmaku? Kiedy dowiedziała się, że Lizabeth nosi w brzuchu embrion, pomyślała, że to okropne, ale w dużej części było to

spowodowane zazdrością. Wiedziała, że nie wszyscy Nadludzie zgodzą się na to rozwiązanie. Niektórzy kurczowo trzymali się przeszłości. Spojrzała na kamery, wszystkie były włączone. Musieli uznać fakt, że prędzej czy później umrą. Pozostało im tylko wybrać kiedy.

— Nie jesteśmy już nieśmiertelni, mimo iż tak było przez tysiąclecia.

— Calapino — powiedział Glisson. — Nie przyjmiesz chyba tej idiotycznej propozycji?

„Mechaniczny człowiek obraził się na życie" — pomyślała Nadkobieta. — Bonmur, co o tym sądzisz? — spytała.

— Tak! — zawołał Glisson. — Powiedz coś, Bonmur. Wykaż brak logiki tej propozycji.

Usłyszawszy swoje imię, Bonmur odwrócił się i popatrzył na wszystkich po kolei. Miał zmęczoną twarz, ale oczy mu błyszczały.

— Przypomniałem sobie coś… jak to było… Myślę, że było lepiej… zanim zostałem… zmieniony.

— Bonmur! — wrzasnął Glisson. „Dotknięty do żywego" — stwierdził Srengaard. Glisson spojrzał na Calapinę swymi sztucznymi oczami.

— Jeszcze się nie zdecydowaliśmy, czy wam pomożemy.

— A kto was potrzebuje? — spytał Srengaard. — Dzięki wam zyskalibyśmy tylko trochę na czasie i mielibyśmy mniej kłopotów. To wszystko. Możemy jednak sami zdobyć embriony. Nie macie monopolu w tej dziedzinie.

— Ale to nie było tak zaprogramowane — wybełkotał bezmyślnie Cyborg. — Nie przewidzieliśmy, że będziecie chcieli im pomóc.

Zamilkli.

— Doktorze Srengaard — rzekła Calapina. — Widziałeś pojawienie się argininy. Czy możesz nam dostarczyć elitę embrionów płodnych i niezależnych, takich jak ten Durantów? Nurse myśli, że to możliwe.

— W rzeczy samej. Tak, to nawet… prawdopodobne.

— Jeśli zaakceptujemy waszą ofertę — ciągnęła Calapina — będziemy dalej żyć. Zdajesz sobie z tego sprawę? Dziś żyjemy, ale pamiętamy jeszcze o minionych dniach.

— Pomożemy wam, jeśli będzie trzeba — zakończył Glisson, mimo iż brak akceptacji dalej był wyczuwalny w jego głosie.

Spośród nich wszystkich tylko ciężarna Lizabeth w swej błogości i łagodności odgadła przyczynę ostatecznej zgody Cyborga: łatwiej jest rządzić łagodnymi. To właśnie Glisson wydedukował. Mogła w nim czytać, od kiedy dowiedziała się, że jest dumny i skłonny do złości.

W kuli narastało napięcie. Jedno pytanie paliło usta wszystkich Nadludzi, ale żaden z nich nie śmiał go zadać. Calapina w milczeniu wprowadziła je do komputera. Odpowiedź ukazała się po chwili:

„Zabieg ten może dać od ośmiu do dziesięciu tysięcy dodatkowych lat życia, nawet dla ludzi z Masy.”

— Nawet dla ludzi z Masy… — powtórzyła cicho Calapina. Wszyscy to teraz widzieli. Nie będzie już bezpieczeństwa. Milczenie Glissona oznaczało, że zrozumiał. Srengaard też to niedługo spostrzeże. Może nawet Durantowie zrozumieją. Wiedziała już, co jej pozostało do zrobienia. Związek z Masą był jeszcze kruchy. Byle co mogło go zniszczyć.

— Jeszcze do tego dojdzie — powiedziała — że każdy będzie mógł zadecydować o sobie. Człowiek z Masy tak samo jak Nadczłowiek.

„Oto wielka polityka” — pomyślała. — „Tak postanowiłaby Trójca. Nawet Schruilla. Zwłaszcza Schruilla. Cwany… biedny Schruilla”. Wydawało się jej, że słyszy jego śmiech.

— Czy można to wykorzystać dla ludzi z Masy? — spytał Harrey.

— Dla wszystkich — odpowiedziała i uśmiechnęła się do Glissona, dając mu posmakować zwycięstwa. — Myślę, że teraz możemy przejść do głosowania.

Spojrzała jeszcze raz na ekrany i zastanawiała się, czy aby nie pomyliła się oceniając swoich ziomków. Większość z nich widziała na własne oczy, co osiągnęła, ale niektórzy na pewno czepiali się jeszcze mimo wszystko nadziei odzyskania poprzedniej pozycji. Będą chcieli się cofnąć, aby dalej wegetować w stanie nudy i apatii.

— Zielony za propozycją doktora Srengaarda, złoty przeciw — oznajmiła.

Światła zapalały się najpierw powoli, później coraz szybciej. Zielone, zielone… — długie sznury zielonych, przerywane gdzieniegdzie złotymi paciorkami. Sukces tak bardzo przekraczał oczekiwania Calapiny, że zaczęła nawet coś podejrzewać. Ależ nie, trzeba zaufać instynktowi. To nie był trwały sukces. Na monitorach znalazła wyjaśnienie tego zjawiska: Można manipulować Cyborgiem dzięki jego bezkrytycznej wierze w moc logiki.

Ale nie można manipulować życiem przeciwko życiu! — stwierdziła i dodała: — Wniosek przyjęty!

Ogłaszając rezultat, zauważyła zdziwione spojrzenie Glissona.

„Coś pominęliśmy” — przemknęło jej — „gdy przystosujemy się do nowej sytuacji, zobaczymy co to takiego…”

Srengaard odwrócił się do Duranta. Miał wrażenie, że znów znajduje się w sali operacyjnej. Jedna istota dała impuls i cały system się zmienił. Cały proces był równie precyzyjny, jak ten wewnątrz komórki.

Harrey zrozumiał uśmiech Srengaarda. Rysy chirurga zdradzały jego uczucia, tak samo jak twarze innych obecnych. Posłaniec czytał w nich jak w otwartej księdze. Panowie tego świata byli czujni i

członkowie Masy mieli szansę, tysiącletnią szansę, o ile zaufają Calapinie, a ona dalej będzie ufać sobie. Genetyka przyjęła nową strukturę, otwartą, nieokreśloną, taką, która spodobałaby się Heisenbergowi. Manipulatorzy zostali zmanipulowani i zmodyfikowani przez inną manipulację.

— Kiedy będziemy mogli odejść, Lizabeth i ja? — spytał Harrey.